

Woda ledwo się marszczy



Ryszard T. Sawicki (*Namysłów*)

Nim wody rzeki staną się wezbrane, wypływają cicho z niewielkiego źródła. A źródło bije w dolinie, wśród spłaszczonych wierzchołków przeciętych wąwozami o stromych stokach. To źródło rzeki Bug. W pobliżu źródeł Bugu znajduje się też źródło rzeki Seret. Okolica leży na europejskim dziale wodnym, na którym schodzą się dorzecza Wisły, Dniestru i Dniepru. Doliny i wzgórza są przeważnie zalesione, lecz wśród ogromnych, dzikich lasów znaleźć można ogrody zasadzone i utrzymywane przez mieszkańców tych ziem.

Źródło rzeki Bug wytryska w niewielkiej wsi Werchobuż, gdzie w sadach kwitną wiosną drzewa czereśni, a jesienią czerwienieją owoce kaliny. Kwitną dziś tak samo, jak kwitły onegdaj, kiedy okolic nie dotknęła jeszcze zagłada, którą przyniósł wiek dwudziesty. W poprzednich wiekach powstawały i zanikały rozmaite siedziby ludzkie, lecz zagłada wieku dwudziestego miała o wiele większą skalę. Skalę, której nie było równych. Kto przeżył ten okres historii, ten wydarzenia wspomina z trwogą, nawet, jeśli kiedyś dzielnie stawiał czoła przeciwnościom, nie poddawał się złu, lecz z nim

walczył. Kto ich nie przeżył, ten słucha opowieści z lękiem, który tym tylko różni się od trwogi, że nawiedza w chwili, gdy zagrożenie minęło, nie czai się w czeluści dzikiej kniei. Jest daleko; rzec by można, że zostało za siedmioma górami, siedmioma lasami. Tam, gdzie rzeka, która znalazła już spokojny bieg, odnawia się teraz w innym czasie, płynie jakby z innego źródła.

Opowieść, której wysłuchałem nie była dla mnie nowa. Była powtórzeniem tej, którą wcześniej przeczytałem. Ale czym innym jest słuchanie opowieści z ust żyjącego świadka historii, a czym innym odczytywanie z druku lub rękopisu, choćby tekst był napisany przez tę samą osobę. Opowieści o wydarzeniach, które miały miejsce w okolicy, gdzie biją źródła Bugu, wysłuchałem z ust osoby mi bliskiej, starszej ode mnie o kilkadziesiąt lat. Wcześniej czytałem tekst, który spisała, a także mogłem porównać jej opowiadanie z opowiadaniem innych osób, byłem więc przygotowany na to, co usłyszę. Jednak słuchałem i tym razem nie bez lęku, że znów poczuję, jak w świadomość zapadają obrazy, które zapisały się w ułamkach zwierciadła, a jego ułamki, tak samo jak zapisane w nich obrazy, kaleczą i sprawiają ból. I będę musiał, jak bywało przedtem, *wyjąć z oczu bolesne szkło*, o którym czytałem w tomie wojennej poezji. Wolałbym czytać taki na przykład wiersz: *Woda ledwo się marszczy i ledwo oddycha, gładka i równa, wezbrana i cicha*. I jeszcze inaczej: *O Bugu, czystych wód święty kryształ... nie pali twej wody od wierzchu do głębi spiekota w południa zacisze*. Ale powrót do tych starych wierszy sprzed kilku wieków jest trudny, bo to dwudziestowieczna poezja, nie starsza, wypływa pierwsza na powierzchnię świadomości, gdy słucha się opowieści o doświadczeniach współczesnych, żyjących jeszcze, bliskich osób. Takich, jak przyrodnia ciotka mego ojca, Maria.

Ciocia Marysia jest córką pradziadka Józefa, ale ojciec nie nazywał jej ciocią, bo jest starsza od niego tylko o trzy lata. Pradziadek Józef ożenił się po raz drugi w późnym wieku, a Marysia przyszła na świat, gdy miał sześćdziesiąt trzy lata. W roku 2009 ojciec obchodził dziewięćdziesiąte czwarte, a Maria dziewięćdziesiąte siódme urodziny. Mimo, że jest starsza, cieszy się lepszą pamięcią od ojca. To właśnie ona spędziła najmłodsze lata w pobliżu źródeł Bugu, w leśniczówce swojego ojca, a mego pradziadka.

Nigdy nie byłem w tamtych okolicach. Przekroczyłem wprawdzie kilka razy Bug, ale

nie dotarłem do źródeł rzeki. Czytam więc, by sobie rozszerzyć horyzont, *Przewodnik po Galicji* opracowany przez Orłowicza i wydany w 1914 roku. Na stronie 98 i 99 odnajduję opis pasma Woroniaków, czyli wzgórz, które *stanowią północną krawędź wyżyny podolskiej i biegną od Gołogór ku Krzemieńcowi*. Miejscowości takie, jak Biały Kamień, Podkamień, Olesko, Podhorce, Pieniaki i Huta Pieniacka leżą właśnie w pobliżu źródeł Bugu. A także rozległa wieś Gawareczyzna, na skraju której była leśniczówka pradziadka.

Wieś założona została jako osada garncarzy produkujących czarną ceramikę. Przed drugą wojną światową ludność w dalszym ciągu zajmowała się garncarstwem. Na południowym zboczu Woroniaków, nad Bugiem, około pięciu kilometrów na południowy zachód od Gawareczyzny, leży niewielkie miasto Biały Kamień z kościołem fundowanym przez Wiśniowieckich. Na wschód od miasta są ruiny zamku zbudowanego w siedemnastym wieku przez Jerzego Wiśniowieckiego, a zniszczonego przez Turków i Tatarów. Jerzy Wiśniowiecki podejmował tam Jana Kazimierza podczas królewskiego pochodu na oblężony Zbaraż. Orłowicz podkreśla, że ze zrujnowanych murów i baszty rozciąga się piękny widok. Na północy, po drugiej stronie rozległego lasu, leży wieś Terebieże. W prostej linii na południe, po prawej stronie Bugu, wznosi się Święta Góra, a po drugiej stronie rzeki trzy inne szczyty. Na płaskim szczycie góry wytryska źródło, którego wodzie okoliczni mieszkańcy przypisywali cudowne właściwości. Pradziadek Józef najwidoczniej też wierzył w świętość góry i źródła, bo pracując wytrwale przez kilka lat zbudował z okolicznych kamieni kapliczkę i ustawił w niej małą figurkę Matki Bożej. Do tego miejsca cała rodzina chodziła często na spacer, co zostało uwiecznione na kilku ocalałych fotografiach. Najlepsza z nich przedstawia mężczyznę z długą białą brodą, młodą kobietę i dwójkę dzieci. To Józef, jego druga żona Helena, córka Marysia i syn Czesław.

Marysia, dziś dziewięćdziesięciosiedmioletnia staruszka, wspomina te spacer, z rozrzewnieniem, zwłaszcza teraz, gdy do pobliskiego kościoła Jezuitów w Jarosławiu trudno jej dojść bez czyjejs pomocy.

Podczas mojej parodniowej wizyty wspominała nie tylko spacer na Świętą Górę. Długo opowiadała o nocnej wędrówce przez las latem 1918 roku. Miała wtedy pięć lat. Pewnej nocy matka zbudziła ją i brata, kazała szybko się ubrać, w czym

pomagała niania, Różia. Ubrany, ale zaspany wciąż dzieciom, rodzice wyjaśnili, że muszą natychmiast udać się w długą i niebezpieczną podróż. Dzieci miały się zachowywać bardzo grzecznie i cicho, zwłaszcza podczas marszu przez las. Matka wzięła ręczny bagaż, ojciec latarkę i laskę, gajowy usadowił na plecach Czesia, a Marysia znalazła się na plecach niani. Po chwili cała szóstka nocnych wędrowników opuściła dom i weszła na leśną ścieżkę. Pięcioletnia Marysia bała się, ale nie płakała. Wpatrywała się w słabe światełko latarki, którą niósł ojciec. Szedł przodem, oświetlał ścieżkę. Światełko żywego ognia migotało zza szybek latarki, raz ginęło za postacią ojca, to znów pojawiało się, a jego pojawienie się dodawało dziecku otuchy. Z głębi lasu dochodziły trzaski łamanych gałęzi, a wędrowcy nie wiedzieli, czy czai się tam zwierz, czy człowiek. Trzaski mieszały się z szelestem igliwia oraz liści rozgniatanych pod stopami idących. Gdyby miała o kilka, może kilkanaście lat więcej, Marysia umiałaby zapewne opisać wierszem te wędrówkę, tak jak umiał jej ojciec. Może byłyby to wiersze podobne do takiego na przykład utworu.

Co to za dziwne dobiegają głosy,

kiedy nad głową cała puszcza szumi i swych pokoleń opowiada losy.[...]

Puszcza - to wielka jest natury księga!

Niema - a mówi kto ją duchem pyta

i kto do dziejów i natury sięga,

z niej tylko cząstkę tajemnic odczyta.

Albo inaczej.

Przez tę ciszę twoją,

zaklinam ciebie,

niech mnie ukoją

twoje szumy.

I jeszcze inaczej.

*Idzie noc srebrna, zadumana,
osnuta siecią mgieł pajęczą,
a przed nią boru czarna ściana
zamykająca świat obręczą.*

*A przed nią stare szumią drzewa, sosny srebrnieją od księżyca,
ciepły już z dala wiatr zawiewa, pachnie jałowiec i żywica.*

*Noc wchodzi srebrna w bór wiekowy,
wkoło się jodły modląc chwieją, sosny zielone chylą głowy,
czar tajemniczy idzie knieją.*

Tak pisali rozmaici poeci, a ojciec Marysi pisał podobne wiersze o podolskich jarach, o lesie. Ale o tym dowiedzieć się miała dopiero po latach.



Marysia nie pytała dokąd zierają. Wyczuwała skupienie i lęk dorosłych, sama też bała się coraz bardziej. Trzymała się kurczowo ramion niani, aż ta musiała czasem delikatnie rozluźnić jej zaciśnięte piąstki. Marsz w niczym nie przypominał spacerów na Świętą Górę, ani innych wędrówek przez las lub dnem jaru. Wędrowali długo, a dzieciom wydawało się, że wędrówka nigdy się nie skończy. Wreszcie doszli do stacji kolejowej w miejscowości Ożydów i wsiedli do pociągu jadącego do Przemyśla, po drugiej stronie Bugu. Było to pierwsze przejście Marysi przez rzekę.

O Bugu, którego głębiny nie mierza

ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,

ni trzoda bliskiego pasterza

swawolnym pływaniami nie brudzi [...]

jak miło się wsłuchać w twój szelest i gwary

pisał Maciej Kazimierz Sarbiewski. Zmęczonym i przerażonym wędrowcom rzeka nie była tym, czym była niegdyś, dla pasterzy i poetów, którzy opiewali pasterskie, pogodne życie. Wydać się mogła raczej rzeką, która

wszystko podzieli na wiosnę i jesień,

na zimy siwe, pory wszystkich lat. [...]

ujrzy nas i uniesie [...]

a czasem w niej westchnienie, co o oddech prosi [...]

i myją w niej krwawe dłonie ci, którzy zabili.

Późnym popołudniem zapukali do drzwi babci Marii na Zasaniu. Mieszkanie było już przepełnione, bo znaleźli w nim schronienie również inni uciekinierzy: wuj Stefan z żoną i córką w wieku Marysi. Pobyt u babci był dla trójki dzieci okresem nieoczekiwanych, a miłych wakacji, lecz dorośli martwili się o pozostawione mienie. Nie wiedzieli, czy będą mieli do czego wracać, kiedy niebezpieczeństwo minie. Docierały do nich groźne wieści. Dowiedzieli się, że ucieczkę podjęli w ostatniej chwili, bo nazajutrz rano splądrowano leśniczówkę pozostawiając tylko ciężkie meble. Wiedzieli, że w razie gdyby zostali, ich los byłby przesądzony. Przypisywali ocalenie Opatrzności, która czuwała nad pielgrzymami do Świętej Góry.

Po powrocie przywitały ich uszkodzone, lecz własne ściany, przez okna mogli oglądać te same drzewa i krzewy. Kapliczkę znaleźli nieuszkodzoną, o czym przekonali się, gdy weszli na górę, by za ocalenie podziękować Matce Bożej. Życie potoczyło się dalej, jak toczy się rzeka, gdy minie stopnie wodospadów, a jej powierzchnia *ledwo się marszczy, gładka i równa, spokojna i cicha*. Lecz po nocnej wędrówce przez las Marysia nie od razu pozbyła się lęków. Gdy patrzyła na ścianę lasu za domem, wcale nie miała ochoty wchodzić na żadną leśną ścieżkę. Dziecinne strachy musiały ustąpić jednak przed obowiązkami szkolnymi. Marysia zaczęła chodzić do szkoły w Gawarzczyźnie, a potem w Białym Kamieniu. Z Gawarzczyzny do Białego Kamienia było nieco bliżej niż do stacji kolejowej w Ozydowie. Szło się na południowy zachód, a nie na północ, lecz także trzeba było przejść przez okoliczne lasy. Marysia nie chodziła długo do tej szkoły. Widząc każdego ranka niechęć do wyjścia z domu i zmęczenie po każdym szkolnym dniu, rodzice zdecydowali umieścić Marysię w zakładzie Sióstr Miłosierdzia. Ale i to rozwiązanie okazało się zbyt uciążliwe dla wrażliwej i wątłej dziewczynki. Do czwartej klasy Marysia poszła w

Tarnopolu, gdzie mieszkał starszy syn ojca z pierwszego małżeństwa, Bronisław. Było to dość duże miasto liczące, według Orłowicza, około trzydziestu pięciu tysięcy mieszkańców. W mieście były trzy gimnazja, szkoła realna, szkoła przemysłowa, seminarium nauczycielskie oraz kilka szkół prywatnych.

Bronisław miał dobrą pracę jako inżynier w dyrekcji kolei, zajmował z żoną ładne, obszerne mieszkanie. Jego żona miała na imię Helena. Kilka lat wcześniej stracili własne dziecko, a Helena nie mogła mieć więcej dzieci. Wydawało się, że obecność Marysi w domu stryjostwa będzie dla wszystkich błogosławieństwem, lecz zamiast opiekuńczej troski, Helena zaczęła przejawiać wrogość wobec gościa. Jedyne siostra Heleny i jej matka były dobre dla Marysi. Przychodziły w odwiedziny dość często, starały się łagodzić sytuację. Zaczęły uczyć Marysię grać na pianinie, kupowały rozmaite smakołyki, w zimie wypożyczały dla niej łyżwy i zabierały na tarnopolską ślizgawkę. Ich zabiegi okazały się jednak mało skuteczne, bo Helena miast coraz mniej, coraz bardziej dokuczała dziecku. W końcu rodzice postanowili zabrać córkę do domu, choć to wiązało się z koniecznością przedwczesnego zakończenia edukacji.

W rodzicielskim domu wszystko wyglądało po staremu. Ojciec był niezwykle gościnnym człowiekiem, zapraszał rodzinę i znajomych, przyjmował na wakacje dzieci i młodzież. Lubił żartować i rozmawiać. Marysi nie brakowało więc towarzystwa. Mimo, że przeszedł na emeryturę jako nadzorca klasztornych lasów, w związku z czym rodzina musiała opuścić obszerną leśniczówkę i zamieszkać w małej gajówce, prowadził nadal gospodarstwo na dzierżawionych od klasztoru polach. Nie robił tego sam, ale podnajmował ziemię okolicznym rolnikom, a ci dzielili się z nim plonami. Urządzał też duże festyny na rynku w Białym Kamieniu, które gromadziły tłumy uczestników z okolicznych miejscowości. Oprócz jarmarcznych gier i zabaw, sprzedawano czarną ceramikę z warsztatów gawareckich rzemieślników oraz produkty pól i lasów. Niestety, ojciec zmarł po dwunastu latach od przejścia na emeryturę, a Siostry Miłosierdzia nakazały rodzinie opuścić gajówkę w ciągu dwóch tygodni.

Śmierć ojca nastąpiła w roku, w którym kończyła się umowa dzierżawy, tak, jakby dzierżawa ziemi i życie były związane ze sobą. Jakby praca i życie były nieodłączną całością, a gdy zabrakło możliwości pracy, zabrakło też chęci do życia. Po pogrzebie znaleziono wśród papierów leśniczego długi wiersz, w którym skarżył się na los,

przewidywał taki właśnie koniec swego ziemskiego bytowania. Marysia razem z matką i bratem przeniosły się w 1936 roku do Złoczowa. Było to miasto liczące, jak nadmienia Orłowicz, trzynaście tysięcy mieszkańców. W siedemnastym wieku należało do rodziny Sobieskich. W podziemiach kościoła przekształconego w 1836 roku na cerkiew były grobowce sióstr Jana III. Podczas ostatnich wakacji na Gawareczyźnie Marysia z rodziną odwiedziły też zamek Sobieskich w Podhorcach. Zachowało się kilka fotografii z tego ostatniego spaceru po okolicy. Na jednej z nich jest wielka studnia podobna do tej, która była koło leśniczówki. Na drugiej widoczna jest grupka trzech młodych kobiet w jasnych sukienkach, za nimi stoi Marysia w ciemnej sukience. W tle kopuła kościoła świętego Józefa.



Jednak tuż po Pierwszej Wojnie Światowej obywatele miasta nie mogli cieszyć się pokojem. O tym epizodzie historycznym przypomina wydana w 1921 roku przechowana przez rodzinę broszura pod tytułem *Z krwawych dni Złoczowa 1919 roku*. Są w niej zamieszczone relacje naocznych świadków przesłuchań, więziennych tortur i egzekucji. Władysław Pieniążek, były kapitan wojsk austriackich, został aresztowany pod zarzutem zdrady stanu. Podczas przesłuchań zarzucano mu, że *na wypadek zbliżania się wojsk polskich do Złoczowa miał na czele polskiego oddziału*

wpaść na tyły ukraińskie. Gdy próbował tłumaczyć, że planu takiego nie było, został zakrzyczany przez prowadzących przesłuchanie wojskowych ukraińskich (*my wże wsio znajemo*), a następnie odprowadzony do kaźni. Został tam, jak pisze, skatowanego wcześniej notariusza Sawickiego i innych znajomych aresztowanych pod rozmaitymi absurdalnymi zarzutami. Sąd działał szybko, a sądzeni byli pozbawieni możliwości wypowiedzi. Franciszek Jarzębski, zwrotniczy kolejowy, został aresztowany pod zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji kolejarzy, która miała rzekomo wysadzać mosty. Jarzębski wspomina, że następnego dnia, gdy znalazł się w celi po okrutnym pobiciu, wezwano na rozprawę sądową dwudziestu współtowarzyszy. Po rozprawie wszyscy wrócili jeszcze do celi, ale około dziesiątej wieczorem wyprowadzono pięciu, a pozostali usłyszeli salwy plutonu egzekucyjnego. W więzieniu złoczowskim znalazły się też kobiety. Dozorczynie więzienia wspomina, że aresztantki, słysząc salwy plutonów egzekucyjnych mdlały, a oficer, którego prosiły o pomoc przy cuceniu omdlałych śmiał się i twierdził, że tak będzie jeszcze przez tydzień lub dwa, więc zdążą się przyzwyczaić.



Zamek Sobieskiego w Podhorcach.

Kiedy Marysia znalazła się w Złoczowie, echa tamtych *krwawych dni* już przebrzmiały, miasto znowu tętniło życiem. Wieczorami ulice zapełniały się eleganckimi spacerowiczami, którzy czuli się bezpiecznie do późnych godzin. Już wcześniej zamieszkał w mieście starszy brat Marysi, Czesław, który był zawodowym wojskowym. Marysia zaczęła spotykać znajomych brata, nawiązywać przyjaźnie. Z

grupką znajomych odbywali spacery po mieście, chodzili do kina i na koncerty. Poznała też pewnego młodego człowieka, z którym spodziewała się połączyć swe losy w przyszłości. Miał na imię Władysław, ale na kilku zachowanych zdjęciach Marysia zapisała zdrobniałą formę imienia: Władek. Był nieco wyższy od Marysi, szczupły, miał ciemne włosy, krótko przystrzyżone wąsy i nosił okulary. Marysia mogła o nim pomyśleć strofami jednego z wierszy Bohdana Zaleskiego:

Wzniosły, smukły i młody,

o! nielada urody;

śliczny chłopiec - czego chcesz?

Czarny wąsik! biała płeć.

Każde słówko, co powie,

lgnie mi w sercu i w głowie.

Śliczny chłopiec - czego chcesz?

Czarny wąsik, biała płeć.

Nuciła sobie te słowa do melodii skomponowanej przez Chopina, a nazwanej *Canto Polaco (Opus 74 nr 8)*.

Władek był kolegą Gienka, jednego ze złoczowskich przyjaciół, późniejszego dowódcy oddziału Armii Krajowej, w którym znalazła się też Marysia. Na zimowym zdjęciu Gienek stoi obok Marysi w długim płaszczu z futrzanym kołnierzem, na głowie ma ciemny kapelusz. Na innym zdjęciu z wiosny 1937 roku idzie z trójką dziewcząt, z Marysią przy prawym ramieniu. Jest ubrany w ciemny garnitur, sweter i krawat. Twarze idących rozpromienia wiosenny uśmiech. Na zdjęciu z dwudziestego listopada 1938 roku Władek stoi razem z trzema mężczyznami za ławką w parku, na której przysiedli trzej inni koledzy. Mężczyźni bez towarzystwa kobiet są poważni, nie uśmiechają się.

Spokojne spacery ulicami Złoczowa nie trwały jednak długo. Wszelkie plany Marysi o

radosnej i spokojnej przyszłości legły w gruzach we wrześniu 1939 roku. Do miasta wkroczyły wojska sowieckie, zaczął się znowu terror. Mnożyły się aresztowania znaczących rodzin, więźniowie byli torturowani, rozstrzeliwani, a ci aresztanci, którym udało się przeżyć byli zsyłani z rodzinami na Syberię. Zamiast na skwery, koncerty i do kina, mieszkańcy chodzili codziennie na dworzec kolejowy, by sprawdzić czy podstawiono wagony z tak zwanymi *kominkami*, przeznaczone do dalekiej podróży w głąb Kraju Rad. Nie było łatwo odnaleźć krewnych i znajomych, bo grupy zesłańców liczyły zwykle po sto lub nawet dwieście osób. Na dworcu rozgrywały się dramatyczne sceny. W mieście panowały strach i rozpacz.

Marysia mieszkała sama z matką. Brat Czesław brał udział w obronnych bitwach na Śląsku, dostał się do niemieckiej niewoli, lecz zdołał uciec i do końca wojny ukrywał się w majątku krewnych koło Jarosławia. Wiadomość o tym dotarła do rodziny dopiero po wielu miesiącach. Na początku wojny matka i siostra nie wiedziały, czy przeżył i co się z nim stało, potem drżały wciąż o jego los. Same też były zawsze przygotowane, że do drzwi ich mieszkania zapuka NKWD. W przedpokoju stał podręczny bagaż. Marysia i matka dowiadywały się raz po raz, że znajomych ubywa, że tego aresztowano, tamtego rozstrzelano, inni zostali wywiezieni lub są zagrożeni. Doczekały się tego, że do ich mieszkania zostali dokwaterowani Sowieci, zajęli pokoje, a one musiały pomieścić się w małej kuchni.

Represje rodziły opór. Młodzi mężczyźni wstępowali do Armii Krajowej. Za przykładem Gienka również Marysia złożyła przysięgę i otrzymała pseudonim Apolina. Przeszła przeszkolenie, nauczyła się posługiwać bronią krótką, długą oraz granatami. Poznała też metody konspiracyjnego porozumiewania się między poszczególnymi grupami bojowymi. Do jej obowiązków należało utrzymanie łączności między dowództwem okręgu, a komendami powiatowymi w Przemyślanach, Brodach, Krasnem, Busku, Zborowie, Złoczowie i Tarnopolu. Przewoziła rozkazy wojskowe, mapy sztabowe z oznaczonymi rejonami działań lub zrzutów, plany akcji, dokumenty personalne dotyczące awansów, odznaczeń, a także prasę konspiracyjną. Matka, wnuczka powstańca z 1863 roku, wiedziała o działalności Marysi, ale nigdy nie oponowała. Wędrowała po województwie tarnopolskim z fałszywymi dokumentami osobistymi. Pewnego razu miała dostarczyć bardzo ważny i pilny meldunek. Aby go dowieźć na czas, musiała wsiąść do pociągu na dworcu w Złoczowie. Kiedy tam dotarła, zobaczyła, że dworzec obstawiony jest przez niemieckich żołnierzy. Gdy

pociąg ruszał, szybko przebiegła przez tory i wskoczyła do pociągu. Na szczęście żaden z żołnierzy nie zareagował, a dowódca jej oddziału, który obserwował skok, mógł odetchnąć z ulgą. W listopadzie 1943 roku komendant okręgu tarnopolskiego odznaczył Marysię Krzyżem Walecznych i nadał jej stopień plutonowego. Po jakimś czasie przełożeni uznali, że należy przenieść Marysię do pracy w zaopatrzeniu. Nowa praca wymagała zdolności organizacyjnych, Marysia miała dbać o to, by grupy bojowe otrzymywały dostawy na czas. Przez ręce Marysi przepływała żywność, leki i broń.

Gdy ruszyło niemieckie natarcie na wschód, dom, w którym Marysia mieszkała z matką, znalazł się w rejonie nalotów i bombardowań, w strefie szczególnego zagrożenia. Marysia zapamiętała szczególnie jeden bombowy nalot. Pożar wybuchł w sąsiednim domu, przerażona sąsiadka przybiegła z prośbą o pomoc w ratowaniu dobytku. Wyrzucały we dwójkę przez okno, co tylko wpadło im w ręce, opróżniały szafy aż do momentu, gdy runął sufit. Uciekały w popłochu przez kuchnię ciągnąc za sobą ciężki kufer wypełniony odzieżą i pościelą. Gdy były w korytarzu, runął kolejny sufit, musiały porzucić ciężar i ratować się same. Gdy znalazły się na zewnątrz budynku, Marysia z przerażeniem zobaczyła, że jej budynek też stanął w ogniu. Na razie palił się tylko strych, matka wyrzucała przez okna ich rzeczy. Marysia rzuciła się na pomoc, wносиły teraz sprzęty do ogrodu. W pewnej chwili Marysia potknęła się i upadła na chodnik. Leżały tam fragmenty potłuczonego szkła, które boleśnie ją pokaleczyły. Nie było czasu ani możliwości usunąć wszystkich odłamków z głębokich ran. Skutki tych okaleczeń gnębią Marysię do dziś. Odczuwa ból, zwłaszcza, gdy wchodzi po schodach do swojego powojennego mieszkania.

Razem z sąsiadką i jej współlokatorką, wśród kłębow dymu z pogorzeliiska, spędziły noc w ogrodzie. Dopiero następnego dnia poszły do miasta, by szukać schronienia. Znalazły pokój u pewnej kobiety mieszkającej samotnie w dużym domu, ale po kilku dniach przybyła tam jej rodzina, która uciekła ze swojego domu w innym mieście, więc musiały się wyprowadzić. Podczas, gdy cieszyły się ze schronienia w trzecim z kolei miejscu, nadleciały znowu samoloty. Bomby zaczęły spadać w pobliżu, ludzie wybiegli z budynku i w popłochu kryli się wśród zarośli nad rzeką. Marysia z matką zdążyły dobiec do swojego domu, który uległ wprawdzie poważnym uszkodzeniom, ale nie trawiły go już płomienie, a piwnice były tam nienaruszone. Miały dobre przeczucie. Ci, którzy pobiegli nad rzekę, źle wybrali. Wprawdzie żadna z tych osób

nie zginęła, ale wszyscy zostali ranni, bo samoloty siały bomby właśnie wzdłuż rzeki.

Wkrótce po tym nalocie do miasta wkroczyły niemieckie jednostki lądowe. Podczas przemieszczania się frontu mieszkańcy starali się pozostawać w ukryciu, dopiero potem zaczęli wychodzić z piwnic i rozglądać się po okolicy. Marysia i jej matka stwierdziły, że w ich domu brakuje w oknach szyb, zawaliły się fragmenty sufitu, nadpalił się strych. Pomimo tego miały zamiar tam powrócić, ale w ogrodzie znalazły świeży grób i choć nie wiedziały, kto w nim spoczął, nie chciały mieszkać w tym „sąsiedztwie”. Dowiedziały się, że w dużej willi siostry ich sąsiadki nie ma lokatorów, bo jej mąż został rozstrzelany przez Sowieców, a ona uciekła razem z dziećmi. Sowieccy żołnierze, którzy tam stacjonowali, zniszczyli wprawdzie i zrabowali sprzęty, ale można tam było mieszkać. Wysprzątały kuchnię oraz jeden pokój i przez miesiąc mogły cieszyć się, że mają nad głową cały sufit, a nawet i dach. Willa zainteresowała jednak niemieckich okupantów i musiały się wyprowadzić. Przez całą wojnę tułały się z mieszkania do mieszkania, zagrzewając dłużej tylko w jednym miejscu. Był to niewielki dom daleko od centrum miasta, co miało tę zaletę, że żołnierze nie mieli zwyczaju tam zaglądać. Ponadto w przydomowym ogródku można było sadzić warzywa. Tam doczekały końca wojny. Gdy wojska niemieckie zaczęły się cofać, stało się jasne, że po nich przyjdą po raz drugi Sowieci. Kto ich poznał wcześniej, nie chciał doczekać ponownego spotkania. Po dziesięciu latach spędzonych w Złoczowie, Marysia i jej matka postanowiły wyruszyć znowu na Zachód, za Bug. Tym razem wiedziały, że wyruszają na zawsze. Wiedziały, jak wiedział poeta, że trzeba się modlić tak:

Jeno wyjmij mi z tych oczu

szkło bolesne - obraz dni,

które czaszki białe toczy

przez płonące łąki krwi.

Jeno odmień czas kaleki,

zakryj groby płaszczem rzeki,

zetrzyj z włosów pył bitewny,

tych lat gniewnych,

czarny pył.

Zezwolenie na wyjazd, które Marysia zdobyła, było dla dziesięciu osób, należało więc znaleźć osiem innych osób chętnych do ewakuacji. Nie było to trudne, choć niektórzy mieszkańcy Złoczowa wciąż się wahali, co robić w tej sytuacji. Problem polegał jednak na tym, że do wagonu mogli wejść tylko członkowie rodziny. Służby dworcowe zainteresowały się osobami zgromadzonymi przy wagonie, ujawnienie prawdziwych nazwisk wszystkich osób groziło śmiercią. Trzeba było działać szybko. Marysia wyjęła z podróznego bagażu upieczonego na drogę królika i dała urzędnikom. To na szczęście wystarczyło. Wreszcie, około piątej po południu, transport ruszył, a z nim uciekinierzy oraz ich dobytek. Ale gdy dotarli do Janowa, pociąg stanął. Okazało się, że Ukraińcy wysadzili tory. Parowóz wypadł z szyn, trzeba było sprowadzić inny i naprawić szyny. Dworzec w Janowie został też zbombardowany, ale pociąg zdołał odjechać i następnego dnia rano dojechał do Jarosławia. Na dworcu czekał brat matki Marysi, Stanisław, który kilka dni wcześniej przebył z rodziną tę samą drogę ze Złoczowa (do stacji w Złoczowie dotarł z Broszniowa, gdzie przed wojną był dyrektorem kopalni naftowej). Z Jarosławia udali się do Roźwienicy, majątku Górskich, w którym inny krewny był przed wojną zarządcą. Przywitał ich brat Marysi, Czesław, który w Roźwienicy ukrywał się od ucieczki z obozu jenieckiego.

Marysia czekała teraz już tylko na jedno spotkanie: spotkanie z tym chłopcem, którego opisywała sobie słowami Zaleskiego, w takt pieśni Chopina. Czas mijał, ale Władek, który obiecał odszukać ją zaraz po wojnie, nie zjawiał się. Wśród osób z pociągu był jednak inny młody człowiek, uciekinier z Gawareczyny, kolega Władka i Gienka z oddziału Armii Krajowej, Franek. To smutny, barczysty mężczyzna sfotografowany na ławce w złoczowskim parku w 1938 roku. Wspomnienia i wspólna podróż zbliżyły ich do siebie. Franek odważył się poprosić Marysię o rękę i został przyjęty. Wkrótce po ślubie w kościele w Rudosławicach Marysia i Franek przenieśli się do Jarosławia, gdyż majątek roźwienicki przestał być majątkiem Górskich i przestał być dla nich domem.



W powojennym Jarosławiu życie było trudne. Nawet stali mieszkańcy nie mieli dobrych warunków mieszkaniowych, a co dopiero ci, którzy przybywali z okolic miasta. Marysia i Franek znaleźli jednak pracę i powoli zaczęli remontować przyznane mieszkanie. Kiedy ich po raz pierwszy odwiedziłem, a było to dopiero po mojej maturze, Franek zaprowadził mnie na brzeg urwiska nad Sanem. Wskazał ręką przed siebie. – Tam jest Lwów – powiedział. Nie powiedział nic o Gawareczyźnie. Tąte wspomnienia były zbyt bolesne. Nie przypuszczałem wtedy jak bardzo. Nie wiedziałem, że szeroka, głęboka studnia przy leśniczówce pradziadków stała się grobem dla wielu mieszkańców Gawareczyny. Nocami, gdy nie mogła spać, Marysia wspominała sąsiadów, których nie ma: Bałuczyńskich, Bakusiewiczów, Bednarskich, Borodyńskich, Czosnykowskich, Garbozińskich, Jureczko, Jurkiewiczów, Kupińskich, Kutyńskich, Kuziemskich, Leśniowskich, Łabuńskich, Manowitów, Mitulińskich, Muszyńskich, Szuszańskich i Wiślińskich.

Franek nie cieszył się dobrym zdrowiem. Życie nie rozpieszczało ułomnego chłopca z biednej rodziny, a warunki okupacji, działalność w Armii Krajowej, dodatkowo nadszarpnęły wątłe siły. Ostatnie lata przeżył w cierpieniu, wymagał intensywnej

opieki, a rok po przeprowadzce do nowego mieszkania zmarł. Natomiast ukochana i dzielna matka Marysi dożyła swych setnych urodzin, a zmarła w wieku 104 lat. Marysia została sama. Żyła spokojnie, z radością przyjmowała gości. Wyjmowała czasem z szuflady w starym kredensie jeden z ocalałych wierszy ojca pod tytułem *Skarga* i czytała.

W głębokim jarze, śniegiem zawianym,

siedzę samotny i zadumany.

Każde wspomnienie serce me smuci,

jak było dawniej, to już nie wróci.

Nie trać nadziei,

mówi duch przyrody,

wiosna zawita, spłyną śniegi, lody,

a promień słońca duszę Twą ogrzeje.

Wiersz został napisany w 1907 roku, jeszcze przed ślubem z Heleną, matką Marysi. A przechowywany był w kredensie, który Józef zamówił u wędrownych cieśli. Kredens i parę innych mebli z tego samego drewna udało się uratować z pożogi wojennej. Zostały przewiezione z Gawareczyny do Złoczowa, potem ze Złoczowa do Jarosławia. Były uszkodzone, ale spełniały swoje funkcje. Ciemne drewno ze starej gruszy wyglądało elegancko, lepiej niż powojenne krzesła i sprzęt kuchenny. Kiedy zachodzące słońce wpadało przez oszklone drzwi małego balkonu, widać było na powierzchni drewna rozmaite zadrapania. *Ale to nic* – wyjaśniała Marysia. *Na nowszym stole nie ma wprawdzie zadrapań, lecz nie widać też historii* – dodawała. Zmarła w wieku 102 lat.

Słońce, co złotem gaje powleka,

pełne uroku jako przyjaźń człeka;

*tam zszedł błogo życia początek,
tam jest mój luby rodzinny kątek [...]
Pod drzewem domek dziada, pradiada,
tam mnie na ręku nosiła matka;
wszystko się sercu tak mile śmiało,
wszystko, com kochał, tam pozostało,*

mogłaby recytować za Wincentym Polem. Wszystko, ale nie ten kredens, ta szafa i dwie mniejsze szafki. Te stare meble przypominały Marysi pokoje w leśniczówce, starannie przecierała je co parę dni ściereczką od kurzu. W szufladach panował wzorowy porządek. Nie było jednak na półkach ani tomiku wierszy Pola, ani tomiku z wierszem Zaleskiego. Ani broszury o Złoczowie wydanej w 1921 roku. Te książki stoją na moich półkach, to ja mam je czytać i o nich pamiętać. Jak i wiersz Słowackiego o aniołach.

*Anioły stoją na rodzinnych polach
i chcąc powitać lecą w nasze strony,
ludzie schyleni w nędzy i niedolach
cierniowemi się kłaniają korony,
idą i szyki witają podrózne,
i o miecz proszą tak jak o jałmużnę.*

*Rzeko z cudzoziemców strony,
czemu nurt twój tak zmącony?*

czy się gdzie zapadły brzegi,

czy stopniały stare, stare śniegi?

napisał Stefan Witwicki, autor między innymi parafrazy Mazurka Dąbrowskiego. Chopin skomponował do tych słów pieśń, która płynie przejmującymi tonami cichego lamentu. Mickiewicz cenił poezję Witkiewicza. Pisał o jednym z jego artykułów, że jest *wyborny, stylem wcale nie warszawskim, bo czystym, jasnym i mocnym*. „Smutna rzeka” Witwickiego i Chopina *śpiewa żalosne pieśń* o spotkaniach z duchami, wtóruje aniołom Słowackiego.

Ryszard T. Sawicki, *W Jarze*:

<https://www.cultureave.com/w-jarze/>

Historia domu Pod Bocianami



Dom Pod Bocianami. Najpiękniejszy ganek drewniany w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski.

Teresa i Wrzesław Żurawscy

O uroku Łańcuta stanowi nie tylko magnacka rezydencja Lubomirskich i Potockich, ale także zabytkowe, malowniczo rozsiadłe w ogrodach wille i domy, które nadały miastu niepowtarzalny charakter. Najstarsze z zachowanych pochodzą z XIX w. Należy do nich parterowy, typowo miejski dom *Pod Bocianami*, tym bardziej cenny – bo drewniany, do naszych czasów zadbane i remontowany przez właścicieli z pełną świadomością jego wartości historycznej i zabytkowej. Ze względu na budulec, jakim jest drewno, zabytki tego typu są bardziej narażone na niekorzystny wpływ czasu, pogody i... człowieka, który (strach pomyśleć) przez nieostrożność może zaproszyć ogień. Z powyższych względów liczna kiedyś w Łańcucie zabudowa drewniana prawie zniknęła.

Na szczęście dom *Pod Bocianami* stoi w pełnej krasie: okazały, bogaty, strojny w detal ciesielski. Wybudowany został z modrzewia w drugiej połowie XIX w. dla rodziny drogomistrza Kaczorowskiego. Nadano mu kształt wydłużonego prostokąta.

Usytuowany w obszernym ogrodzie – dłuższą elewacją, ozdobioną gankiem, zwraca ku ulicy Paderewskiego, naprzeciwko należącego do *obszaru dworskiego* folwarku *na Górnem* (po II wojnie światowej teren szpitala).

Jak wynika z informacji opracowanych przez Z. Juchę w 1980 r. (karta ewidencji zabytków WUOZ Rzeszów) – w ostatnim dziesięcioleciu XIX w. dom rozbudowano. W 1934 r. dom *Pod Bocianami* nabyły rodziny dwóch braci: Maria i Franciszek Rzucidłowie oraz Józefa i Józef Rzucidłowie od nauczycielki szkoły powszechnej Dzierżyńskiej. Już w następnym roku nowi właściciele przeprowadzili remont generalny budynku, a w latach 60. XX w. wprowadzono instalację wodociągową. Na skutek modernizacji i remontów rozkład domu zmienił się. W pierwotnie dwutraktowym, amfiladowym układzie wnętrza zbudowano przez środek ścianę rozdzielającą dom na dwie połowy dla użytku i wygody dwóch rodzin. Zewnętrzny jego wygląd pozostał niezmienny – dwuspadowy blaszany dach przykrywa oszalowaną deskowaniem wydłużoną bryłę.



Dom Pod Bocianami przy ul. Paderewskiego w Łańcutie, fot. Wrzesław Żurawski.

Prawdziwą ozdobą budynku jest okazały przeszklony ganek na środku elewacji frontowej. W jego trójkątnym szczycie, oszalowanym w drobną łuskę, umieszczono symetrycznie parę zwróconych ku sobie bocianów, wyciętych z drewna i malowanych. Od tej ozdoby do drewnianego modrzewiowego domu przylgnęła nazwa *Pod Bocianami*. W dużych, zamkniętych łukiem, przeszklonych oknach i drzwiach ganku wprowadzono drobne regularne podziały geometryczne, a pod oknami w szalunku - profilowo wycięte ornamentalne deskowanie. Niezwykle bogate jest obramienie okien budynku. W elewacji frontowej umieszczone po obu stronach ganku, po dwie bliźniacze pary otworów okiennych flankowane są kanelowanymi smukłymi półkolumnkami i zwieńczone trójkątnymi, wycinanymi z desek szczytami; w dolnej części wsparcie dla kolumnienek dają snycerowane konsolki, połączone toczonym wałkiem - rodzajem parapetu z podwieszonym ażurowym, wycinanym ornamentalnie fartuszkim pod każdym oknem.

W układzie wewnątrz domu zachowała się stara stolarka drzwiowa, podłogi, stropy oraz... niepowtarzalny klimat, pielęgnowany przez kolejne pokolenia spadkobierców rodziny Rzucidłów po dzień dzisiejszy. Smakowaniu tej staropolskiej gościnnej atmosfery sprzyjały, zapamiętane jeszcze z lat 80. i początku 90. XX w. wizyty w domu *Pod Bocianami*, okraszone pięknymi opowieściami Bogusława Rzucidły (syna Józefa), gdy siedząc w wygodnych fotelach i pijąc aromatyczną herbatę słuchaliśmy pogawędek o czasach przedwojennych, wojennych i powojennych. Jakże miłą dla nas okazała się retrospekcja tych opowieści przywołana w 2017 r. przez Państwa Jankowskich w tymże domu *Pod Bocianami*, świeżo i z sercem wypielęgnowanym do oryginalnej deski, belki stropowej czy mebla.



Bociany schowane pod dachem, fot. Wrzesław Żurawski.

Trzeba wiedzieć, że z domem *Pod Bocianami* wiąże się emocjonujący epizod z czasu II wojny światowej. Dnia 23 kwietnia 1944 r. z lotniska w Campo Cassale koło Brindisi wystartował brytyjski samolot Halifax JP 224 o imieniu „Rita”. Miał dokonać rzutu broni i zaopatrzenia dla Armii Krajowej w rejonie Opolu Lubelskiego. W wyniku awarii silników (na skutek ostrzału przez samolot niemiecki) siedmioosobowa załoga wyskoczyła z maszyny przed jej rozbiem w okolicach Tarnogóry koło Sarzyny. Lotnicy przeżyli. **Oscar Congdon** oraz **Edward Elkington Smith** dostali się do niewoli niemieckiej, skąd po wojnie wrócili do Wielkiej Brytanii. **James Caradog Huges**, **Charles Keen**, **Thomas Storey** (pilot) i **Patric Stradling** dostali

się pod opiekę oddziałów partyzanckich Batalionów Chłopskich „Ojca Jana”, następnie przekazani oddziałowi AK „Kmicica”, a następnie oddziałowi partyzantów AL „Muchy” i sowieckich, którzy zorganizowali ich ewakuację lotniczą przez Kijów i Moskwę do Murmańska, skąd wrócili do Wielkiej Brytanii.

Siódmy z lotników, sierżant **Walter Davis**, radiotelegrafista, był ukrywany w rodzinie państwa Deców w gajówce w Smolarzynie, następnie w Rakszawie. Spotkał się z angielskim wojskowym przechowywanym przez AK **Jamesem Bloomem**, uciekinierem z niemieckiego obozu jenieckiego. **James Bloom** wstąpił do AK i został zaprzysiężony pod pseudonimem „Antek”. Korzystał z pomocy rodziny Sowów z Soniny, których córkę Katarzynę poślubił w warunkach konspiracyjnych. Obaj Anglicy wraz z francuzem **Henri Roustanem** (przypuszczalnie także uciekinierem z obozu) dostali się pod opiekę Zenona Szusta w Łańcucie. Przechowywani byli w domu *Pod Bocianami* przy ul. Paderewskiego 12 w rodzinie Józefa Rzucidła.

Józef Rzucidło ur. W 1891 r. był prawnikiem, absolwentem Uniwersytetu we Lwowie. Pracował w Banku Ziemskim, a następnie w Sądzie Powiatowym w Łańcucie jako kandydat notarialny, asesor notarialny, p.o. sędziego, notariusz. Jego biuro mieściło się w willi Fangorów przy ul. Mickiewicza. Po wojnie został kierownikiem Państwowego Biura Notarialnego. Był ostatnim prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Łańcucie, zmuszony w 1946 r. do oddania Starostwu Powiatowemu kluczy do budynku Towarzystwa. W 1939 r., w czasie okupacji niemieckiej, aresztowany i katowany przez gestapo, następnie osadzony w obozie w Pustkowie, gdzie przebywał 18 miesięcy do 1943 r.

Aliantami zajmował się również syn Józefa, **Bogusław Rzucidło** ur. w 1920 r. żołnierz AK ps. „Bob”, zaprzysiężony we wrześniu 1943 r. Kolportował on prasę podziemną, prowadził nasłuch radiowy, a dzięki znajomości języków niemieckiego, angielskiego i francuskiego był łącznikiem między placówkami AK i zbiegłymi z niewoli żołnierzami alianckimi. Załatwiał on ślub kościelny **Jamesa Blooma** „Antka” i zorganizował mu wesele we własnym domu.

Walter Davis przebywał w domu *Pod Bocianami* od kwietnia 1944 r. do lutego 1945 r. Alianci zamieszkiwali okresowo także w innych miejscach w Łańcucie i okolicy,

między innymi w wieżyczce willi Cetnarskich przy ul. Konopnickiej 29. Ukrywanymi opiekowali się także Helena Pawłowska i jej brat sierżant żandarmerii WP Roman Pawłowski, żołnierz AK ps. „Rom”. Zenon Szust, poliglota, miłośnik poezji i muzyki umożliwił także potajemnie **Walterowi Davisowi** grę na organach w łańcuckiej farze. Po wojnie **Walter Davis** został ewakuowany przez Kijów, Odessę i drogą morską do Wielkiej Brytanii, gdzie został organistą w kościele parafialnym w Eversley.



Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej z udziałem młodzieży I LO. W jasnym garniturze gospodarz – pan Janusz Jankowski, fot. Aleksandra Ruszel.



Goście uroczystości: siedzi Maria Szpunar - siostra żony Jamesa Blooma „Antka”, stoją od lewej: Magdalena Lew-Strawa (wnuczka Marii Szpunar), Dorota Szpunar (córka Marii Szpunar) i Teresa Bagińska - Żurawska, fot. Aleksandra Ruszel.

Po wojnie Józef Rzucidło za swoje zasługi został uhonorowany przez brytyjskie władze wojskowe dyplomem wdzięczności.

W 1946 r. Biuro Attache Wojskowego Ambasady Brytyjskiej w Warszawie reprezentowane przez majora J. F. Fillinghama przekazało Józefowi Rzucidło kwotę 20.000 zł tytułem rekompensaty za przechowanie angielskich wojskowych w czasie okupacji niemieckiej. Obdarowany, jak sam napisał, przyjął pieniądze „na usilne życzenie” *attache* i przeznaczył je w całości na cele społeczne.

Połowę tej sumy czyli 10.000 zł na pomoc dla 20 uczniów 1 L.O. w Łańcucie

pochodzących z biednych rodzin. Zostali oni wytypowani przez Radę Pedagogiczną. Zachowała się imienna lista z potwierdzeniami odbioru.

5.000 zł Józef Rzucidło przeznaczył na odnowienie Kościoła Mariackiego w Krakowie składając je na ręce ks. prałata dr Ferdynanda Machaya - proboszcza.

Pozostałe 5.000 zł otrzymał zaś Główny Komitet Uczczenia Pamięci Wincentego Witosa w Warszawie z przeznaczeniem na budowę Uniwersytetu Ludowego im. W. Witosa w Wierzchosławicach.

Wszystkie dokumenty w tej sprawie pozostały w rodzinie Rzucidłów i są przechowywane do dziś.

W lipcu 2018 r. państwo Małgorzata i Janusz Jankowscy umieścili na domu *Pod Bocianami* tablicę informującą o alianckich gościach w czasie wojny. Przypomina ona o zaangażowaniu łańcucian w walkę podziemną, ich doskonałej organizacji i niezłomnej postawie moralnej.



This certificate is awarded to

JOZEF RZUCIDLO

*as a token of gratitude for and appreciation
of the help given to the Sailors, Soldiers
and Airmen of the British Commonwealth
of Nations, which enabled them to escape
from, or evade capture by the enemy.*

*Air Chief Marshal,
Deputy Supreme Commander,
Allied Expeditionary Force*

1939-1945

Dokument z podziękowaniem dla Józefa Rzucidło za pomoc alianckim żołnierzom od brytyjskich władz wojskowych.

W opracowaniu wykorzystano informacje z książki Stanisława Jankowskiego „Ostatni lot Halifaxa” oraz dokumenty z archiwum rodziny Rzucidłów.

Janusz Żurakowski. Zapiski z łąki.



Janusz Żurakowski na swojej łące, fot. M. Kusiba.

Marek Kusiba (*Toronto, Kanada*)

Z wysokości trzech kilometrów łąka na skraju ontaryjskiego jeziora Kamaniskeg wygląda jak znaczek pocztowy przyklejony do zielonej koperty. Łąkę wypatrzył pilot doświadczalny z kabiny testowanego supersonicznego myśliwca przechwytyjącego,

którego zadaniem miała być obrona Ameryki Północnej przed rosyjskimi bombowcami. Gdy w 1959 roku zlikwidowano produkcję najlepszego samolotu świata tamtej doby - na własne życzenie rządu kanadyjskiego - pilot wraz z rodziną osiedlił się na upatrzonej łące. Wkrótce przyjechali inni, łąka zakwitła namiotami, powstała mała ojczyzna Polaków. Nazwisko pilota: Janusz Żurkowski. Nazwa myśliwca: CF-105 Avro Arrow. Adres małej ojczyzny: „Kartuzy Lodge”, 1 Arrow Drive, Barry’s Bay, ontaryjskie Kaszuby.

20 lutego minęło 60 lat od dnia, który zapisał się czarną kartą w historii Kanady, a w życiu Janusza Żurkowskiego wyznaczył cezurę: zakończył życie lotnicze, a rozpoczął - osadnicze. W tym roku mija także 105 rocznica urodzin i 15 rocznica śmierci pułkownika Żurkowskiego - we własnym łóżku, w sędziwym wieku lat 89. Popularny w Kanadzie „Żura” spędził łącznie w powietrzu blisko trzy lata, będąc zawsze wierny zasadzie, że są dobrzy lotnicy i... starzy lotnicy.

Ziele na kraterze, mała świnka i Merian Cooper

Pana Janusza znałem blisko dwadzieścia lat, rozmawialiśmy przeważnie o lataniu, jako że pochodzę z lotniczej rodziny. Z panią Anną Danielską-Żurakowską rozmawialiśmy z kolei o literaturze. A zaczęło się wszystko od... Melchiora Wańkowicza: pani Anna dobytek kiedyś z szuflady położyła listy i *Ziele na kraterze* z dedykacją autora, odwiedzającego Żurakowskich 7 czerwca 1954 roku:

Państwu Januszowstwu Żurakowskim z życzeniami, aby ich przemiłe „ziele” nie wzrastało na żadnym już - kraterze.

Anna Danielska-Żurakowska pisała wiersze, studiowała romanistykę, była też dziennikarką radiową. Razem z Julią Hartwig i Anną Kamińską, jej szkolnymi koleżankami, pisały w czasie okupacji sztukę dla rannych żołnierzy. Potem drogi ich się rozeszły. Danielska uciekła do Francji, by poślubić miłość swej wczesnej młodości, oficera lotnictwa, jednego z bohaterów bitwy o Anglię i lotnictwa brytyjskiego po wojnie, gdy bił międzynarodowe rekordy i wymyślał figury akrobacyjne, będące dotąd nie do pomyślenia. O Januszu Żurakowskim wiedziałem (prawie) wszystko, pytałem więc o sztukę, ale pani Anna wolała mi opowiedzieć o... małej śwince, którą widziała u chłopca, gdy ją gonił dookoła podwórka bez wyraźnego

powodu. Zapytała wreszcie, po co to robi? A on na to, że Niemcy kazali mu ją z rana odstawić na punkt i że on chce im ją oddać nieco chudsza...

Z panią Anną i panem Januszem rozmawialiśmy także o Macieju Słomczyńskim, kongenialnym tłumaczu *Ulissesa*, którego ojciec, Amerykanin Merian Cooper był współtwórcą Eskadry Kościuszkowskiej i wraz z 20 amerykańskimi lotnikami walczył ramie w ramie, a raczej skrzydło w skrzydło z Polakami w wojnie polsko-bolszewickiej. Późniejszy Dywizjon 303, „Kościuszkowski”, godny spadkobierca dokonań zaczątku „Legionu Amerykańskiego” w lotnictwie II RP, okazał się najlepszym dywizjonem Bitwy o Anglię, w której walczyli także mieszkający tuż obok siebie na ontaryjskich Kaszubach Janusz Żurkowski oraz Kazimierz Szrajer, który zaczynał od roli mechanika w Dywizjonie 303, a potem w Eskadrze Specjalnego Przeznaczenia latał w „mostach powietrznych” do okupowanej Polski, podczas blokady Berlina i do głodującej Biafry.



Fot. M. Kusiba.



Arrow Drive - dróżka dojazdowa do Kartuzy Lodge, fot. M. Kusiba.

Do nauki nie wykazywałem zbytniego zapału...

Historia Janusza Żurakowskiego bierze swój początek na kresach dawnej Rzeczypospolitej w roku wybuchu pierwszej wojny światowej: urodził się 12 września 1914 roku w Ryżawce niedaleko Kijowa. Jego ojciec ukończył medycynę i był lekarzem fabrycznego osiedla tamtejszej cukrowni. Po wybuchu rewolucji w Rosji rodzina Żurakowskich herbu Sas straciła dobra dziedziczne Żytniki niedaleko Humania. Gdy wschodnie granice Polski ustalono w Traktacie Ryskim, Żurakowscy w marcu roku 1921 postanowili przedostać się do odrodzonej z popiołów Rzeczypospolitej.

Podróż trwała kilka tygodni. Wozem konnym, z pięciorgiem dzieci. Mały Janusz miał siedem lat. Przekradali się nocą. Przez granicę przeprowadził ich kurier-przewodnik. Dotarli do Garwolina, gdzie ojciec Janusza otrzymał posadę lekarza powiatowego. Później, w roku 1927 rodzina przeniosła się do Lublina. Jan trafił do gimnazjum im. Stanisława Staszica. - Do nauki nie wykazywałem zbytniego zapału - mówił - za to, za przykładem starszego brata Bronisława, który był entuzjastą lotnictwa i budował szybowiec, dużo czasu poświęcałem budowie modeli latających.

Pierwszy w życiu lot odbył w roku 1929, w Lubelskim Klubie Lotniczym. Lot był nagrodą za pierwsze miejsce w wojewódzkim konkursie modeli latających. Ta krótka

chwila w powietrzu związała Żurakowskiego z lotnictwem na całe życie. Pomysł zostania lotnikiem sprowadził mu na głowę gwałtowny sprzeciw ojca, który zadbał o to, żeby koledzy-lekarze z komisji w Centrum Badań Lotniczych w Warszawie „odwalili” 18-letniego kandydata na kurs szybowcowy. Januszowi rzekomo doskwierała „gruźlica obojczyka”.

Był wściekły, ale nie złożył broni: zapisał się na kurs i samodzielnie oderwał się od ziemi w Szkole Szybowcowej Polichno-Pińczów. Zdobył kategorie pilotażu A i B. Podczas następnych wakacji, na kolejnym obozie szybowcowym, uzyskał kategorię C. Było to już po majowej maturze. Jego brat Bronisław studiował na warszawskiej Politechnice, siostry też wybierały się do stolicy na studia. Janusz zdecydował się ulżyć finansom ojca: zgłosił się na ochotnika do wojska. Jako maturzysta miał prawo wyboru broni. Wybrał oczywiście Szkołę Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Dęblinie.

Lotnicze ziarna i pęknięta czaszka

Dęblińską Szkołę Orłąt ukończył w roku 1937, w stopniu podporucznika pilota. Tuż po uroczystej, dziesiątej promocji, wybrał się na urlop wakacyjny na szybowisko w Pińczowie. Odbył tam piętnastogodzinny lot na szybowcu Komar, co było dużym osiągnięciem biorąc pod uwagę dość prymitywną konstrukcję szybowca i warunki latania. Startowało się wtedy bez użycia samolotów holujących, ani mechanicznych wyciągarek, za to przy pomocy dwóch lin gumowych i sześciu ludzi, którzy na komendę „naciągaj” ruszali pędem w dół zbocza naprężając liny, a szybowiec wyskakiwał w powietrze jak z procy.

W lipcu 1938 roku podporucznik Żurakowski wybrał się na kolejny urlop do znanej już w Europie Akademii Szybowcowej w Bezmiechowej na Podkarpaciu. Akademia zasłynęła w maju owego roku, gdy jeden z jej młodych pilotów, Tadeusz Góra, po starcie z Bezmiechowej doleciał aż pod rodzinne Wilno, bijąc rekord świata długości przelotu (578 km) i zdobywając pierwszy na świecie Medal Lilienthala. A rok wcześniej Wanda Modlibowska latała nad tym bieszczadzkiem szybowiskiem 24 godziny i 14 minut, bijąc rekord świata długości lotu Hanny Reitsch, zwanej „pilotką Hitlera”.

Takie lotnicze ziarna kiełkowały w duszy Żurakowskiego. I on próbował

Bezmiechowej, lecz nawyki z szybkich samolotów myśliwskich o mało nie doprowadziły do tragedii. Zaraz po starcie położył szybowiec Delfin w zbyt ostry skręt, uderzając w świerk na stoku. Młody lotnik rozbił sobie głowę i z czaszką pękniętą na długości ośmiu centymetrów najpierw wydostał się z kabiny i zszedł z drzewa, a potem dowlókł się do zabudowań Akademii na szczycie góry – ale nie pamiętał, jak tego dokonał.

Zabawy w kotka i myszkę z Dornierami

Jesienią 1938 roku latał już na samolocie PZL-11 w 161 Eskadrze Myśliwskiej Szóstego Pułku Lotniczego we Lwowie. Głowa zagoiła się, a myśli coraz częściej zaczęła zaprzętać wojna. Został odkomenderowany ze swego Pułku do Dywizjonu Specjalizacji Myśliwskiej w Ułężu pod Dęblinem. Wojna wisiała na włosku podczas ostatniego lata tamtej epoki, które młody pilot Żurkowski spędził, jak zwykle, na lotnisku. Aż wreszcie spadła wojna na Polskę jak jastrząb z nieba.

- Wystawiliśmy w pogotowiu trzy stare „pezetelki siódemki” [PZL-7], samoloty używane do nauki strzelania – wspominał pan Janusz. W czasie jednego z nalotów na Dęblin przeszedłem swój chrzest bojowy. Mój stary samolot szkoleniowy miał małą szybkość i gdy tylko zaczynałem strzelać do bombowców, Niemcy dodawali gazu i Dornierey mi uciekały, by za chwilę zwolnić i strzelać do mnie. Wynik tej zabawy w kotka i myszkę był znikomy: za jednym bombowcem wlokła się biała smuga paliwa z przestrzelonego zbiornika, a ja miałem kilka niegroźnych dziur w skrzydle.

Gdy siedemnastego września 1939 roku pojawiły się na niebie dwusilnikowe, pękate samoloty z czerwonymi gwiazdami, pilot Żurkowski wiedział, że to początek końca. Polska nie miała żadnych szans w walce na dwa fronty. Przyszedł rozkaz ewakuacji personelu lotniczego do Rumunii, gdzie doszły lotników wieści, że Anglia wysłała dla polskich pilotów statek wyładowany myśliwcami Hurricane. Lecz Rumunia w strachu przed Hitlerem zamknęła pilotów w obozach internowania.

Żurkowski „zmienił” zawód na „leśnik” i po wielu perypetiach udało mu się razem z grupą lotników w cywilnych ubraniach wypłynąć z portu Balcic nad Morzem Czarnym. Po tygodniu zawinęli do Bejrutu, potem odплыnęli francuskim statkiem do Marsylii. Wojna rozgorzała na dobre, a kilka tysięcy młodych lotników i personelu naziemnego z Polski oczekiwało na decyzję komisji polsko-brytyjsko-francuskiej,

która w końcu zdecydowała i o losie porucznika Żurakowskiego: pod koniec stycznia 1940 roku znalazł się w Anglii.



Avro Arrow w locie, fot. z archiwum Żurakowskich.

Wstręt do angielskiej herbaty i śmietanka lotników

Anglicy z początku nie dowierzali sile ducha i lotniczego talentu młodych myśliwców z dalekiej Polski: zamierzali przeszkolić ich na bombowcach. – Wydawało nam się, że duma nie pozwala Anglikom, aby obcokrajowcy bronili ich ojczyzny – wspominał pan Janusz. Ale po upadku Francji, w walkach nad którą lotnictwo angielskie poniosło ogromne straty, schowali Brytyjczycy swoją dumę do kieszeni. W początku sierpnia 1940 roku Żurakowski, po krótkim przeszkoleniu, rozpoczął służbę w 234 Dywizjonie Myśliwskim RAF. Rozpoczęła się Bitwa o Wielką Brytanię. Żurakowski walczył w dywizjonie angielskim, ale w powietrzu były też dwa polskie dywizjony RAF – 302 i 303.

Latali na okrągło. Straty były duże, spowodowane także nieludzkim zmęczeniem. W połowie września z dwudziestu paru pilotów Dywizjonu 234 zostało mniej niż dziesięciu. Wtedy wycofano ich do Kornwalii, co nie przypadło do gustu Żurakowskiemu, który w czasie tych morderczych zmagania zdołał zestrzelić na swoim Spitfire'rze trzy Messerschmitty (plus jeden prawdopodobnie), ale i sam został

zestrzelony nad wyspą Wight, co wywołało w nim przejściowy wstręt do angielskiej herbaty, gdyż w każdym domu częstowany był tradycyjną „cup of tea”.

Wraz z porucznikiem Oleńskim poprosił o przesunięcie z cichej Kornwalii w bardziej aktywny rejon. Chcieli się dalej bić. Trafili do 609 Dywizjonu RAF w pobliżu Salisbury. Walczyli do końca Bitwy, która powoli wygasła. Dywizjon został przeniesiony w rejon Londynu, do osłony konwojów i pierwszych brytyjskich wypraw bombowych nad Niemcy. Tymczasem polskie Dowództwo Lotnictwa w Anglii zaczęło tworzyć nowe jednostki, wyciągając polskich pilotów z angielskich dywizjonów. W ten sposób w marcu 1941 roku Żurakowski został instruktorem wyszkolenia myśliwców, a w grudniu znalazł się w 315 polskim dywizjonie „Dęblińskim”. W kwietniu 1942 roku został dowódcą eskadry w 306-tym, a w parę miesięcy później dowódcą 316 Dywizjonu „Warszawskiego”. Wreszcie w lipcu 1942 roku objął funkcję zastępcy dowódcy Skrzydła w Northolt; prowadził skrzydło w czterdziestu lotach bojowych. Osłaniali amerykańskie „latające fortece” w wyprawach nad Niemcy.

„Zura” - jak zwali go brytyjczy koledzy - nie nadawał się do siedzenia za biurkiem. A taką rolę wyznaczyło mu polskie dowództwo, przenosząc go w roku 1943 do Dowództwa Lotnictwa Myśliwskiego na stanowisko oficera „taktyczno-treningowego”. Gdy więc dowiedział się, że w Imperialnej Szkole Pilotów Doświadczalnych było jedno miejsce dla Polaka - zgłosił się natychmiast. W marcu 1944 roku rozpoczął roczny kurs, razem ze śmietanką lotników z całego świata. Latał na wszystkim - od najmniejszych samolotów do bombowców. Zrobił też kilka lotów z lotniskowca, dzięki skierowaniu na pierwsze loty doświadczalne w Dywizjonie Morskim. Wreszcie trafił do dywizjonu prób samolotów myśliwskich. Usiadł za sterami pierwszych brytyjskich odrzutowców Vampire i Meteor.

Gdy kończyła się wojna, Żurakowski miał już oblatanych czterdzieści różnych typów samolotów; był znakomitym pilotem doświadczalnym, czego dowiódł ponad wszelką wątpliwość w lipcu 1945 roku, demonstrując odrzutowiec Vampire. Prasa lotnicza piała, zachwytem nie było końca: „The most brilliant exhibition probably ever seen” (prawdopodobnie najdoskonalszy pokaz widziany kiedykolwiek). W październiku na odrzutowym Hornecie zademonstrował pętlę z wyłączonymi obydwoma silnikami, by potem zadziwić widzów pełną akrobacją z jednym tylko pracującym silnikiem.

Owoce tych wyczynów była nie tylko sława, ale i od roku 1947 praca pilota doświadczalnego w angielskiej firmie lotniczej Gloster Aircraft, produkującej myśliwce Meteor i Javelin, które należało udoskonalać. „Zura” to potrafił. Przyszły więc kolejne sukcesy. Do największych zalicza jednak poślubienie swojej polskiej narzeczonej, Anny Danielskiej. Ich rodziny były przed wojną ze sobą zaprzyjaźnione, ojcowie-lekarze pracowali razem. Pan Janusz próbował sprowadzić panią Annę do Anglii zaraz po wojnie, ale nie było to łatwe. Kolejne próby kończyły się fiaskiem. W końcu jednak udało się jej wyjechać ze stalinowskiej Polski – po wstawiennictwie Jarosława Iwaszkiewicza. Ślub odbył się 13 maja 1948 roku w Paryżu.



Janusz Żurkowski na ramionach kolegów po pierwszym locie Avro Arrow, 25 marca 1958 r.

„Niezrównany pilot demonstracyjny” i pionowe „koła od wozu”

W osiem miesięcy później, w styczniu 1949 roku Żurkowski osiągnął siedem i pół

mili wysokości lotu w siedem i pół minuty, co było rekordem świata, a w rok później ustanowił międzynarodowy rekord szybkości na trasie Londyn-Kopenhaga-Londyn i uzyskał miano „niezrównanego pilota demonstracyjnego”, jak pisał tygodnik „Flight” po pokazach w Belgii. Wreszcie na pokazach w Farnborough w roku 1951 zademonstrował lotniczemu światu pierwszą od lat dwudziestu nową figurę akrobacyjną, nazwaną przez francuski „Aviation Magazine” „Zurabatic Cartwheel”. – Zannotujmy, że akrobacja po angielsku jest „aerobatics” – pisali Francuzi – ponieważ Żurakowski ją wykonał, nazwa będzie „Zurabatics”. „Zura” wyciągał swój Meteor ostro w górę, zadławił jeden silnik i z drugim na pełnej mocy wykonywał półtora pionowego „koła od wozu”.

Wieści o wyczynach Żurakowskiego dotarły i za Ocean. Zakłady lotnicze A. V. Roe (zwane też Avro Canada) w Malton pod Toronto poszukiwały takiego właśnie pilota. Żurakowski został ich głównym pilotem doświadczalnym (Chief Test Pilot). W roku 1952 przeniósł się z rodziną (w Anglii urodziło się Żurakowskiem dwóch synów, Jurek i Marek) do Kanady.

Jeszcze tego samego roku przekroczył barierę dźwięku na samolocie pościgowym CF-100 o prostych skrzydłach, „co narobiło trochę szumu, gdyż fachowcy nie wierzyli, że było to na tym samolocie możliwe” – jak skromnie wspominał pan Janusz. Fachowcy wierzyli za to w następcę CF-100 – myśliwiec przechwytyjący CF-105 Avro Arrow, który 25 marca 1958 roku Janusz Żurakowski oblatął. 14 września 1958 roku, w swoim dwudziestym drugim, ostatnim locie na Arrow, Żurakowski osiągnął szybkość Mach 1.86 (czyli prawie podwójną prędkość dźwięku). Lecz pomimo znakomitych osiągnięć i właściwości, wspaniałych prognoz i niezwykłych perspektyw dla rozwoju przemysłu lotniczego w Kanadzie, produkcja samolotu została brutalnie wstrzymana przez konserwatywny rząd Johna Diefenbakera, który skazał tym samym zakłady A.V. Roe na zamknięcie.

Złamana Strzała i duch narodu

Ślady po złamanej Strzale zacierano z niezwykłą dokładnością, jak po przestępstwie. Na tereny zakładów Avro wkroczyło wojsko, by przypilnować pocięcia palnikami (sic!) istniejących już samolotów (łącznie 37 w różnych stadiach produkcji) oraz kanadyjskich silników Orenda, jak również zniszczenia całej dokumentacji. Samolot

CF-105 Arrow był najwspanialszym technicznym osiągnięciem Kanadyjczyków w dziejach tego kraju. Był poza tym dzieckiem kochanym przez kanadyjską społeczność. Miłością do Arrow przepełnione były relacje prasowe z tamtych lat, późniejsze książki oraz filmy, zarówno dokumentalne, jak i para-dokumentalny, dwudcinkowy film telewizji CBC.



Arrow latał jak ptak..., fot. z archiwum Żurakowskich.

Los Avro Arrow zdaje się obchodzić wszystkich. Krytycy decyzji twierdzą, że na życzenie Amerykanów, którzy bali się tak silnej konkurencji w przemyśle lotniczym po północnej stronie granicy, dokonano trwałego sabotażu na przyszłości Kanady. W wielu komentarzach od 60 lat słychać powracający motyw o duchu narodu, który wtedy, w tamten „czarny piątek” 20 lutego 1959 roku, uległ świadomemu zniszczeniu. Od swych narodzin na deskach kreślarskich do zniszczenia na terenie zakładów w Malton pod Toronto, myśliwiec CF-105 Arrow dawał liczne dowody swej wyjątkowości. Był samolotem rewelacyjnym, w opinii dwóch polskich oblatywaczy, Janusza Żurakowskiego i Władysława „Spuda” Potockiego. Przy pracy nad nim

skupiono najtęższe umysły konstruktorskie tamtych czasów. Kierował tym zespołem Jim Floyd o renomie konstruktora bijącego rekordy myśliwca CF-100 oraz pierwszego na świecie odrzutowca pasażerskiego Avro-Jetliner. Podobnie jak Arrow był to samolot w pełni kanadyjski, bardzo udany i zupełnie niedoceniony, o wiele lepszy od brytyjskiego Cometa, który, nie dopracowany technicznie, rozlatywał się w powietrzu. W 1949 roku wyprodukowano jeden egzemplarz Jetlinera, na więcej rząd kanadyjski nie złożył zamówień; w 1957 roku pocięto go na żyłki - zamiast postawić w muzeum. Warto dodać, że po likwidacji programu Arrow Floyd przeniósł do Anglii i razem z Francuzami skonstruował Concorde'a.

Arrow od pierwszych lotów wyrównywał rachunki zainwestowanych w nim nadziei. Jak powiedział Janusz Żurkowski, Arrow latał jak ptak, z każdym lotem wyżej i szybciej. Już w trakcie lotów próbnych stał się światową sensacją i został okrzyknięty najlepszą konstrukcją lotniczą doby powojennej, która technologicznie wyprzedzała wszystkie podobne konstrukcje o lat co najmniej dwadzieścia - tyle zabrało Rosjanom dorównanie Kanadyjczykom. Dopiero ich Mig-29 dogonił Avro Arrow osiąganiami, ale przegrał z kretelem w dziedzinie aerodynamiki, czystości linii i „kosmicznego” wyglądu, zapowiadającego wielkie możliwości rozwojowe tej konstrukcji.

Już po likwidacji programu inżynierowie zwolnieni z Avro Canada - i dosłownie z dnia na dzień zatrudnieni przez Amerykanów, w tym wielu Polaków - współbudowali amerykańską potęgę kosmiczną, łącznie z lądowikiem księżycowym, wahadłowcem Columbia oraz szkoleniem pierwszych astronautów. Rząd kanadyjski zamykając program Arrow nie tylko odbierał pracę piętnastu tysiącom ludzi, zatrudnionym w zakładach Avro i Orenda (silniki odrzutowe) oraz tysiącom współpracujących kontraktorów, odebrał też Kanadyjczykom poczucie własnej wartości. Gdy złamano Strzałę, Janusz Żurkowski powiedział: „To tak prawie jakby nasz duch, jako narodu, umarł”. Nieco później napisał we wstępie do książki *Shutting Down the National Dream*:

Rządy i palniki mogą zniszczyć samolot, ale nie są w stanie zniszczyć nadziei, pragnień i wielkości poszukującego ducha. Marzenie żyje dalej w sercach ludzi[1].

Wielu specjalistów lotniczych i ekonomistów, publicystów i polityków nie może

przeboleć bezpowrotnie utraconej przez Kanadę szansy stania się światową potęgą technologiczną. Kanada pozostała w powszechnym odczuciu krajem pionierów, rolników i traperów, krajem surowcowym. Po kilkuletnim „supersonicznym zawrocie głowy” wróciła do tradycji i mentalności przodków. Podobnie postąpił Żurakowski. Odrzucił kuszące propozycje wielkich zakładów lotniczych w Stanach Zjednoczonych, gdyż chciał pozostać w Kanadzie. Miał 44 lata. Był wybitnym pilotem-oblatywaczem, specjalistą w dziedzinie najbardziej zaawansowanych technologii przyszłości, ale postanowił zostać pionierem w kanadyjskim buszu. Zdecydował się rozpocząć życie od nowa, nieomal na wzór pierwszych osadników – od wyrębu drzew, budowy kabiny, a potem domu. Z naddźwiękowego myśliwca przesiadł się na traktor. Wziął do rąk siekierę i łopatę. Zaczął karczować busz, zrąbane drzewa przerabiać na deski, z desek budować rodzinne gniazdo oraz – eksperymentalne łodzie i skutery śnieżne, napędzane silnikiem wyposażonym w śmigło. Duch pilota doświadczalnego nie pozwolił mu spocząć na laurach.

Janusz Żurakowski miał dwa życia: lotnicze i osadnicze, miał też dwa pogrzeby. W pierwszym, 12 lutego 2004 roku pochowano go pośród... brył lodu z jeziora Kamaniskeg: ziemia na kadyjskich Kaszubach była zbyt zmarznięta, by można było wykopać grób. Dopiero w kwietniu odbył się drugi, już ten właściwy pochówek na cmentarzu Parafii św. Jadwigi przy Siberia Road w Barry's Bay. Leży tam obok żony Anny, która dołączyła do męża we wrześniu 2015 roku.



Ostatni spacer Janusza Żurakowskiego, Kartuzy Lodge, 19 maja 2003 r., fot. M. Kusiba.

Uznawany za jednego z najlepszych pilotów doświadczalnych wszech czasów, pułkownik Żurakowski jeszcze za życia wpisany został w poczet członków honorowych Międzynarodowego Stowarzyszenia Pilotów Doświadczalnych (Honorary Fellow of the Society of Experimental Test Pilots) w Los Angeles - obok nazwisk zdobywcy Atlantyku Charlesa Lindbergha i zdobywcy Księżyca Neila Armstronga. Otrzymał tytuł „Pioniera kanadyjskiego lotnictwa”, prestiżową nagrodę Trans-Canada McKee Trophy za rok 1958 oraz został członkiem Galerii Sławy (Canadian Aviation Hall of Fame) kanadyjskiego lotnictwa. Jego imię nosi główny budynek Centrum Lotów Doświadczalnych w Cold Lake w Albercie. Otrzymał też nagrodę James'a Floyd'a, konstruktora Avro Arrow. W Kanadzie wybito srebrną, 20-dolarową monetę ze złotą podobizną Żurakowskiego i sylwetką CF-100 na awersie i królowej Elżbiety II na rewersie. Odznaczony Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych (trzykrotnie), w roku 1999 otrzymał od władz III RP Krzyż Komandorski Orderu

Zasługi, a Polski Klub Pilotów Doświadczalnych wręczył mu złotą odznakę z numerem 2 (odznakę z numerem 1 nadano Bolesławowi Orlińskiemu). Janusz Żurkowski został też laureatem „Błękitnych Skrzydeł” - nagrody „Skrzydlatej Polski”. W lipcu 2003 roku społeczność Barry’s Bay w hołdzie swemu najsłynniejszemu obywatelowi ufundowała Park Żurakowskiego, gdzie stanął naturalnej wielkości pomnik pilota oraz replika Avro Arrow (w skali 1:4).



Park Żurakowskiego w Barry’s Bay, fot. M. Kusiba.

[1] G. Stewart: *Shutting Down the National Dream: A.V. Roe and the Tragedy of the Avro Arrow*. Whitby, Ontario 1997, 1988, p. X.

W 1997 roku powstał film p.t. „The Arrow” w reżyserii Dona McBrearty (red.).

Pamięć śladów

Rozmowa z panią Romą King, autorką książki
„Footsteps in the Snow”.



Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Była pani małym dzieckiem, kiedy wywieziono panią wraz z mamą, dziadkiem

i prababcią na Syberię. Skąd państwo pochodzili, jak wspominała rodzina czasy przedwojenne?

Roma King:

Pochodziliśmy z Wilna, tam się urodziłam. Ojciec tatusia, Antoni Michniewicz miał majątek w Starych Święcianach, jakieś 70 kilometrów od Wilna. Rodzina była zamożna. Tatuś, Romuald Michniewicz był jedynakiem. Ukończył prawo na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie, a potem szkołę oficerską. Rodzina mamusi - Danowscy, też mieszkała w Wilnie. Mamusia - Janina Danowska, mówiła mi i bratu, że pochodziła ze szlacheckiej rodziny.

Rodzice wzięli ślub w 1938 roku. Byli bardzo szczęśliwi, opowiadali o tym, widać to też na przedwojennych zdjęciach. Gdy wybuchła wojna tatuś zawiózł nas do dziadka, do Starych Święcian. Ponieważ Wilno było bombardowane, myślał, że tam dla nas będzie bezpieczniej. Niestety cztery tygodnie po wybuchu wojny do majątku weszli Rosjanie i zabrali mnie, mamę, dziadka i prababcią na Syberię.

Jak wyglądało życie polskiej rodziny na Syberii?

Żyło się z dnia na dzień, nie było nadziei. Nikt nie wierzył, że można się wydostać z tej syberyjskiej tajgi. Prababcia i dziadek opiekowali się mamusią i mną. Gdyby nie ONI to pewnie zmarłybyśmy już w pierwszych miesiącach zsyłki.

Pani ojciec był więziony w Moskwie, a po ogłoszeniu amnestii przez Stalina i wyjściu z więzienia odnalazł rodzinę. Proszę opowiedzieć, jak potoczyły się dalsze Państwa losy.

Po wyjściu z więzienia tatuś nas odszukał. Chciał zabrać nas i jeszcze jedenaście polskich rodzin z dwóch kolchozów. Miał odpowiednie dokumenty w tej sprawie ze sztabu generała Władysława Andersa. Po zawiadomieniu tych rodzin, że opuszczają Syberię by dołączyć do Armii Andersa, wszyscy pojawili się na stacji kolejowej. Jednak NKWD ich zatrzymało. Powiedzieli do tatusia - ty jesteś oficerem i amnestia tylko ciebie obejmuje, amnestia nie dotyczy cywilów. Kto będzie pracował na roli, w kopalniach czy przy wyrębie lasów, oni nigdzie stąd nie wyjadą!

NKWD absolutnie nie dało się przekonać i dokumenty od generała Andersa w niczym

nie pomogły. Wszyscy musieli z powrotem wracać do kolchozów.

Mój tatuś wtedy bardzo się rozchorował i trafił do szpitala. Dziadek mu tłumaczył – jedź sam jak najszybciej, zabierz ze sobą tylko żonę i dziecko, bo jak ich teraz nie zabierzesz, to już nigdy ich nie zobaczysz. Tatuś nie chciał się zgodzić, żeby zostawić na Syberii swojego ojca i babcię, ale dziadek go przekonywał – w naszym wieku nie podołamy takiej podróży, będziemy dla was tylko ciężarem. My mieliśmy dobre życie, teraz przyszła kolej na was. Mieszkamy tu już dwa i pół roku, znamy tutejszych rosyjskich kolchoźników, to dobrzy ludzie, pomogą nam, jak będzie trzeba.

Po wojnie, nie mieszkała pani nigdy w Polsce, nie chodziła do polskich szkół, a pięknie pani mówi i pisze po polsku. Czy to zasługa mamy?

Tak, znajomość języka polskiego zawdzięczam mojej mamusi. Ona w tę naukę włożyła bardzo dużo serca i pracy. Całe życie mnie uczyła nie tylko języka, ale też literatury i historii Polski.

Jestem jej za to bardzo wdzięczna. Nawet, jak już byłam mężatką, przysyłała mi z Anglii polskie książki „Krzyżaków” czy „Pana Wołodyjowskiego”. I powtarzała mi – czytaj, bo tak utrwala się język polski, patrz na słowa i staraj się zapamiętać pisownię, jakbyś każdy wyraz fotografowała.



Pani Roma King przy plakacie reklamującym film na podstawie jej książki.

Kiedy pomyślała Pani, żeby napisać książkę o losach swojej rodziny „Footsteps in the Snow”?

Przez całe życie mamusia przy każdej możliwej okazji opowiadała mi jakąś historię rodzinną, dołączała w listach kartki dotyczące czegoś, o co wcześniej pytałam lub o czym rozmawialiśmy. I zawsze mi powtarzała – spisz to wszystko, aby nasze wnuki i prawnuki poznały tę smutną historię zabrania nas z domu i z naszej Ojczyzny na daleką Syberię.

Tak więc jak poszłam na emeryturę z UCLA, zaczęłam zbierać notatki zarówno moje, jak i mamusi, żeby opowiedzieć naszą historię dla wnuków i prawnuków. I po kolei zaczęłam wszystko spisywać. Wyszła obszerna opowieść. Dałam ja najpierw do

prze czytania koleżance. Ta zadzwoniła następnego dnia z euforią – o 3 nad ranem skończyłam czytać Twoją książkę, nie mogłam się od niej oderwać, ona jest wspaniała! To nie jest opowieść tylko dla wnuków i prawnuków, ale i dla każdego, kogo interesują ludzkie losy i historia. Zrezygnuj tylko z niektórych czułych słów dla wnuków i będzie książka dla dorosłych. A wnuki i tak przeczytają.

Tak też zrobiłam. Poprawiłam niektóre fragmenty, student zaprojektował mi okładkę, według moich wskazówek i wyszła książka.

Jak ta książka została przyjęta? Gdzie była prezentowana, kto przychodził na spotkania?

Książka „Footsteps in the Snow” wzbudzała i nadal wzbudza duże zainteresowanie. Prezentowałam ją w pięciu stanach. Na spotkania autorskie jeździłam tam, gdzie miałam przyjaciół. Ukończyłam University of Michigan w Ann Arbor, najpierw więc zwróciłam się, do mojej przyjaciółki, która została po latach Director of Libraries on Campus w Ann Arbor. Ona bardzo się ucieszyła, napisała, że zorganizuje mi spotkanie w bibliotece, że mogę się u niej zatrzymać itd. Potem były inne miasta: Phoenix (Arizona), Atlanta (Georgia), Santa Monica (California) i w Flint (Michigan).

Prawie wszystkie wieczory odbyły się w bibliotekach, oprócz Phoenix, gdzie koleżanka zorganizowała mi spotkanie na 80 osób w swoim domu. Miałam też kilka spotkań w Los Angeles, w klubie „UCLA faculty wives”, do którego należę od 20 lat. W krótkim czasie sprzedało się 1500 książek i trzeba było książki dodrukować.

Na spotkania przychodzą głównie Amerykanie w wieku 50-70 lat. Mają wtedy zwykle więcej czasu dla siebie. Są zaskoczeni historią Polski i skomplikowanymi losami polskich rodzin. Ale zdarza się też, że przyjdą młodzi ludzie, co mnie zawsze bardzo cieszy. Bo to dla nich, dla następnych pokoleń, jest moja historia.



Dwór w Wilkowicach koło Rawy Mazowieckiej, fot. www.dworwilkowice.pl.



Serdecznie zapraszamy na prywatną premierę filmu

"Pamięć Śladów"

(ucieczka z Sybiru)

Na podstawie książki Romy King

"Footsteps in the Snow"

Prawdziwa historia rodziny Pani King
Ucieczka z Syberii...

Miejsce:

Dwór Wilkowice, Wilkowice 88A, 96-200
Rawa Mazowiecka, Polska

Data:

8 Września (sobota) 2018r.

18:00 - 20:00 Powitanie gości oraz poczęstunek
20:00 - Projekcja filmu i rozmowy kulturalowe

RSVP do 24 sierpnia br. na adres: rsvp@PamiecSladow.com

Dress code: strój wieczorowy



Przedpremierowa projekcja filmu i przyjęcie w dworze Wilkowie. Siedzą - Roma King wraz z mężem Dr. Stefanem Kanią.

Jak to się stało, że powstał film - fabularyzowany dokument „Pamięć śladów” (2018) w reżyserii i według scenariusza Ignacego Szczepańskiego z Mateuszem Damięckim w roli Romualda Michniewicza - Pani ojca, zrealizowany na podstawie Pani książki?

Ktoś dał moją książkę dyrektorowi Studia Filmowego WIR w Warszawie. Po przeczytaniu zgłosił się do mnie, z pytaniem, czy wyrażę zgodę na realizację filmu fabularno-dokumentalnego na podstawie swojej książki. Ależ TAK, oczywiście - z radością się zgodziłam. I tak zaczęła się długa współpraca. Byłam w Polsce w 2016 i w 2017 r., udzielałam wywiadów i uczestniczyłam w planach filmowych. A we wrześniu 2018 r. przyjechałam na uroczystą premierę filmu w kinie Muranów w Warszawie, która odbyła się 18 września. 8 września natomiast odbył się, niezwykle pięknie zaaranżowany przez moją przyjaciółkę Martę Kaczkowską, przedpremierowy

pokaz filmu w dworze Wilkowice koło Rawy Mazowieckiej. Byłam wzruszona, dwór, jak mojego dziadka pod Wilnem. Obok posesji wspaniała winnica, z której wina są eksportowane do wielu europejskich krajów. Moja przyjaciółka zaprosiła ekipę filmową i wielu znakomitych gości. Przyszło 135 osób. Było bardzo elegancko, do tego wytworna kolacja, kelnerzy podający do stołu. I nie kończące się rozmowy. To był wspaniały wieczór, którego nigdy nie zapomnę.

Jak film został przyjęty w Polsce?

Film został przyjęty bardzo ciepło i serdecznie. Zarówno po pokazie przedpremierowym w dworze Wilkowice jak i po premierze w kinie Muranów ludzie ustawiali się w długiej kolejce, żeby podejść do mnie i porozmawiać. Dziękowali mi, że napisałam książkę, na podstawie której powstał film, mówili, że tak mało wiedzieli o Syberii i o życiu polskich zesłańców, zabranych z własnych domów i zmuszanych do pracy w ciężkich warunkach.

Niektórzy ocierali łzy, mówili, że ich rodziny też tam były, ale nie wróciły. Mówiono mi, że od czasów wojny aż do czasów Solidarności nie można było mówić o wywózce 2 milionów mieszkańców kresów na Sybir, bo to było karane więzieniem. Nikt nie uczył o tym w szkołach. Takie to były czasy komunistyczne.

Czym dla Pani jest ten film?

Dla mnie jest to film przede wszystkim o moim ojcu. Jego odwaga, charakter, miłość rodziny, to są wspaniałe i uniwersalne cechy. Cieszę się, że na podstawie losów mojej rodziny inni będą się uczyć, co jest w życiu najważniejsze i co trzeba cenić i pielęgnować. Rodzina, miłość i własny kraj - to są bezcenne wartości, o które trzeba dbać. Nie zawsze da się osiągnąć sukces zawodowy czy biznesowy, ale jak się ma miłość bliskich i rodzinę, to nic w życiu nie będzie trudne.

„Kto chce, ten może, kto chce, ten zwycięża!” - jak powiedział Józef Piłsudski.

Film dostał I nagrodę w kategorii najlepszy film dokumentalny na Festiwalu Filmów Polonijnych „Losy Polaków 2018” odbywającym się w Warszawie. Można go będzie zobaczyć podczas Austin Polish Film Festival, w niedzielę

11 listopada 2018 r. o godzinie 12.00 oraz spotkać się z panią Romą King.

Więcej informacji:

www.austinpolsishfilm.com

Życie za lejkę



Wilno, okolice Ostrej Bramy, fot. Jan Bułhak, Muzeum Narodowe w Gdańsku.

Romuald Mieczkowski

Trudno powiedzieć, kiedy to było. Najprawdopodobniej w 1943 roku. Po tym, jak zmarła matka Walentyny Skarżyńskiej, pamięć zatarła szczegóły. Nie wiadomo też,

jaka była pora roku. Może lato, coś jednak podpowiada, że jesień.

Ojciec Walentyny, Wilhelm Skarżyński, był znanym w Wilnie fotografem. Przy ul. Wielkiej, koło kina „Helios”, miał własną pracownię i atelier, do którego przychodziła śmietanka towarzyska – ludzie ze świata artystycznego, a w szczególności panie, gdyż był to niezwykle przystojny mężczyzna, wrażliwy na piękno, w szczególności kobiece.

Znajdywał się akurat w okolicach pracowni, niedaleko ul. Szklanej, kiedy z getta pędzono kolejną partię Żydów do Ponar. Wilnianie zdążyli już przyzwyczać się do podobnych widoków, odprowadzali skazańców w milczeniu, litościwym wzrokiem, pełnym bezsilności. Żydzi odbywali swą ostatnią podróż też ze spokojną pokorą. Po prostu szli. Godnie. Jak nie na sąd ludzki, tylko ostateczny. Z nadzieją jedynie na cud – w sercach tlić się mogły bardzo nikłe jej iskierki na ocalenie.

Chyba to było w południe. W każdym razie nie później – ze względu na drogę, jaką Żydzi mieli przebyć do Ponar, a jeszcze potrzebny był czas na przeprowadzenie „operacji”.

Jak i inni, fotograf Wilhelm Skarżyński, patrzył na snujący się ku swej zagładzie korowód. O czym myślał? Może o zdjęciach... Jako dokumente tragedii. Naraziłby się tym oprawcom. Więc tylko patrzył. Wzrok w szarym i złachmaniałym tłumie wyłonił nagle kogoś, kto zwrócił jego szczególną uwagę. Była to kruczowłosa piękność, wysoka, szczupła, wyraźnie górująca nad tłumem, z dumnie podniesioną głową.

Tak piękna dziewczyna, idąca na śmierć!?! Postanowił działać. Wreszcie udało się mu dogadać z jednym z policjantów. Transakcja niezwykle prosta – dziewczyna za aparat fotograficzny. Zainteresowany lejka z głębi korowodu miał podprowadzić kandydatkę na ocalenie na bok szeregu i na zakręcie ją z niego wypchać – wprost na Skarżyńskiego. Po pełnej niepokoju chwili, na zakręcie i rozwidleniu ulic rzeczywiście doszło do wymiany. Konwojent błyskawicznie przewiesił przez ramię aparat fotograficzny, zaś Skarżyński ujął za rękę dziewczynę, zmieszał się w tłumie, po czym szybkim krokiem poprowadził wyrwaną ze szponów śmierci do domu. Na ulicę Wąwozów, tuż obok Szkaplernej. Żeby znaleźć się na Lipówce, musieli minąć Dworzec Kolejowy i przejść przez tory.

Musię Bursztejn z początku ukrywano w piwnicy. Potem została przyjęta do rodziny Skarżyńskich. Nie była zachwycona tym Tatiana, żona Wilhelma. A to z powodu urody „krewnej” męża. Dobrze znała jego wcześniejsze skłonności do zgrabnych pań i po prostu była zazdrosna. Pobyt Musi w ich domu dla sąsiadów był tajemnicą poliszynela.

Po pewnym czasie Wilhelm wychodził z ocaloną nawet na miasto. Jakoś dotrwała razem do końca wojny. Potem mężczyzna załatwił dla młodej Żydówki wszystkie niezbędne papiery, łącznie z dowodem osobistym z narodowością polską. Jako Polka z falą pierwszych repatriantów wyjechała prawdopodobnie do Gdańska i zatarł się po niej wszelki ślad. Przed wyjazdem w dowód wdzięczności, jako jedyna spadkobierczyni w swej rodzinie, u notariusza zapisała na Skarżyńskich okazałą kamienicę w Śródmieściu. Pochodziła z bogatej rodziny kupieckiej. Walentyna odnalazła w domowym archiwum „Wyciąg z ksiąg metrykalnych o Żydach, urodzonych w m. Wilnie w roku 1919”. Z dokumentu, wydanego 16 czerwca 1939 roku, dowiadujemy się, iż Musia Bursztejn urodziła się 15 czerwca według daty chrześcijańskiej i 17. – według daty żydowskiej, tegoż roku. Jej ojciec – Bohusławski – mieszczanin Hirsz, syn Chaima, Bursztejn; matka Golda-Basia (ten wyraz trudno odczytać), córka Mowszy. W dokumencie napisano: „Starostwo Grodzkie Wileńskie stwierdza zgodność tekstu polskiego z odpowiednim zapisem w księdze metrykalnej, znajdującej się w Starostwie”. Podpisał wicestarosta Wacław Jeśmian, „wyciąg” zatwierdził rabin Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Wilnie, zaś jeszcze raz, 24 maja 1940 roku, inny rabin – z polecenia władz litewskich.

Na drugiej stronie „wyciągu” znalazł się następujący dowód wdzięczności Musi za uratowanie:

Ja niżej podpisana, Musia Bursztejn, córka Horsa i Goldy Bursztejnów, niniejszym oświadczam, iż z tytułu zaciągniętego przeze mnie długu u pana Skarżyńskiego Wilhelma w kwocie 1000 (jeden tysiąc) rubli rosyjskich (carskich) w złocie, przelewam tytułem własności na nieruchomość moją, położoną w Wilnie, przy ulicy Kucharskiej nr 4.

To oświadczenie nie zostało potwierdzone notarialnie, brakuje też podpisów świadków. Wygląda na to, że robione było w pośpiechu, bez większej nadziei na

odzyskanie i przekazanie jej innej osobie.

Przyszły czasy niemniej tragiczne. Wilhelm Skarżyński w 1945 roku w biały dzień został zastrzelony niedaleko swego domu. Nie jest tajemnicą, iż do tego przyłożyło się NKWD – jako fotograf zbyt dużo znał ludzi, posiadał znajomości z tymi, którzy pozostawali w kręgu intensywnych dociekań sowieckiego aparatu wywiadowczego i represyjnego. Niewykluczone, iż był zaangażowany politycznie.

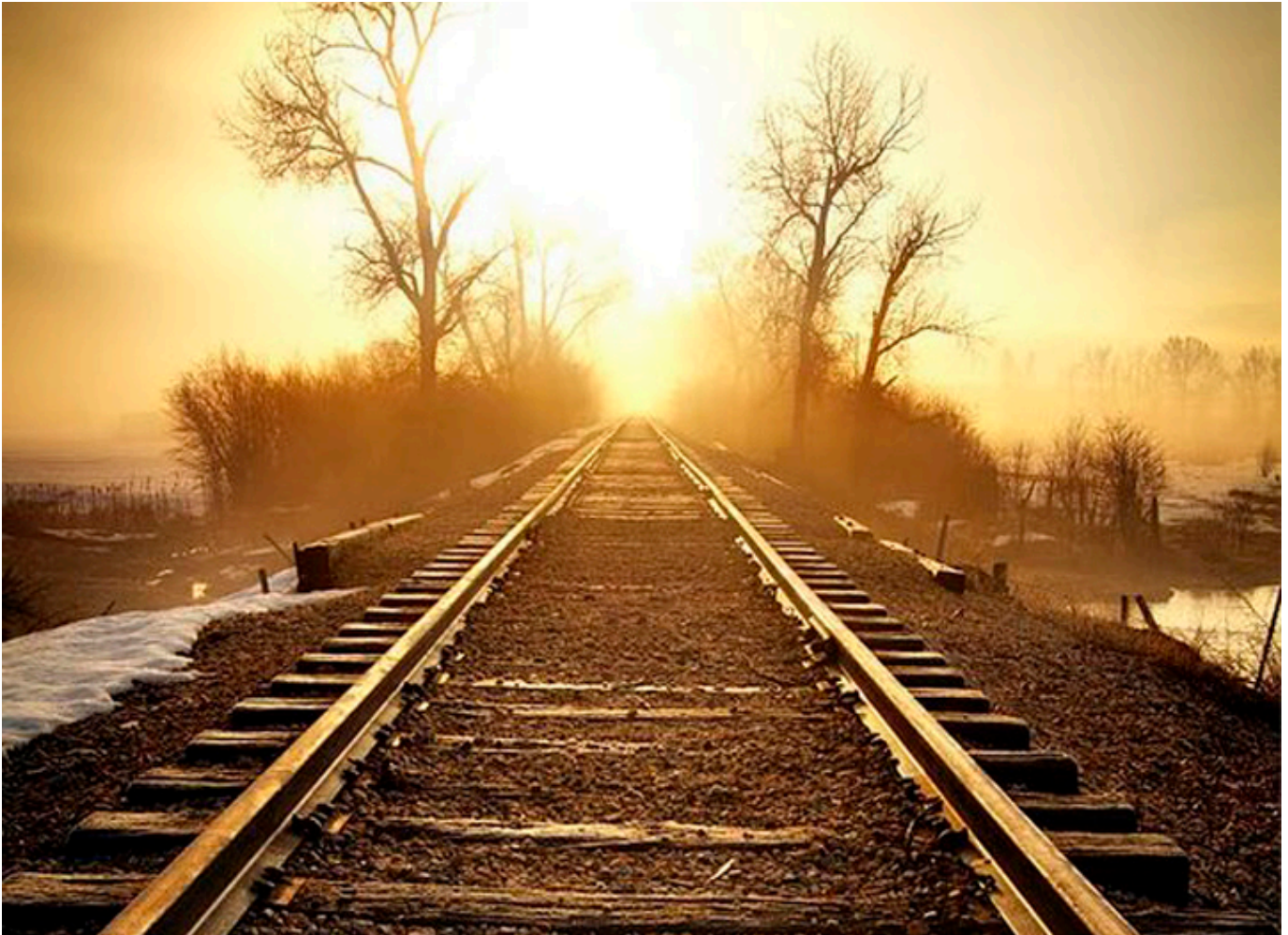
W jego pracowni fotograficznej zamieszkał potem funkcjonariusz NKWD. Kiedy po śmierci męża Tatiana udała się, żeby zabrać rzeczy osobiste Wilhelma, nowy gospodarz wyrzucił ją za drzwi. Człowiek ten pozostawał w tym mieszkaniu, w jednym z najpiękniejszych zakątków Wilna, przez długie lata po wojnie, aż do emerytury i śmierci. Skarżyńska spotykała go wielokrotnie na ulicy. Z początku rzucał złośliwe spojrzenia, z biegiem lat zaczął opuszczać głowę, nie poznawać kobiety i jak najszybciej przechodzić obok. Miała więc podejrzenie, że człowiek ten w jakiś sposób był związany ze śmiercią Wilhelma.

Walentyna, która opowiedziała mi tę historię, urodziła się w latach wojny i zna ją tylko z opowieści. Nie tyle matki Rosjanki wileńskiej i obywatelki Polski, co sąsiadek. Zapamiętały jej ojca, jak i Musię, mieszkającą w Wilnie Katarzyna Siekierska, Ewrosija Kogan, Zina Borysowa. Tatiana nie była skora do przypominania historii Musi. Zapewne zniszczyła wszystkie jej zdjęcia. Gdzieś w rodzinnym archiwum były inne dokumenty. Zawieruszyły się w ciągu lat? Jeśli się odnajdą, może coś więcej można będzie dowiedzieć się o dziewczynie, której życie ocalała lejka. Tylko, kto się tym zajmie?

A ona sama ocalona za lejkę – gdzie jest? Czy pozostała w Polsce pod przybranym (i jakim) nazwiskiem, czy też mieszka w jakimś dalekim zakątku świata? Może i wysyłała listy, tylko kiedy nie było wśród żywych Wilhelma, zazdrosna żona mogła je zniszczyć.

Jak i wszystkie dowody istnienia Musi Bursztej.

Wrzesień



Fot. Clint Losee, pinterest.

Florian Śmieja

Kiedy w piątek 1 września 1939 roku o brzasku alarm przeciwlotniczy spędził nas do piwnicy domu przy Placu Karola Miarki w Katowicach i słychać było wybuchy bomb na lotnisku, jak się później miało okazać, kuzyn z ważną miną instruował krewniaków ze wsi, którzy się u niego schronili, jak należało się zachować w drastycznych sytuacjach. Powszechnie spodziewano się ataku gazowego, a wtedy pouczał, trzeba było posusiać chusteczkę i przyłożyć do nosa i ust. Zapamiętałem sobie tę procedurę. Dosadność jej nie pozbawiona pewnej dozy komizmu, nie dała o sobie zapomnieć przez całe życie.

Po południu tego samego dnia, kiedy stało się jasne, że wojska niemieckie

przekroczyły granice Polski, znalazłem się na dworcu kolejowym, by łapać pociąg jadący na wschód, w pierwszym rzędzie do Krakowa.

Nie wiem, jak to się stało, że pojawił się nagle znajomy ojca z sąsiedniej wsi, architekt Wieczorek, zatrudniony pod Stryjem, który wracał do pracy i czasowo przebywającej tam rodziny w huculskiej wsi Majdan Drohobycki. Zgłosił gotowość zabrania mnie ze sobą. Byłbym daleko od frontu, bezpieczny. Z błogosławieństwem matki, pragnącej ratować najstarsze dziecko, w mundurku gimnazjalnym, z małą walizeczką, nieodłączną lśniąca, niklowaną wiatrówką marki diana, złotym kieszonkowym zegarkiem ojca i banknotem stułotowym w kieszeni pojechałem w nieznaną.

Na peronie panował wyjątkowy tłok. Kiedy podstawiono wagony, tłum runął na nie bez ładu i składu. Każdy zdał się imać tej deski ratunku przeczuwając, że może już nie być następnej okazji. Ten, kto nie miał większych bagaży, poruszał się swobodniej, właściciele wielkich ciężarów mordowali się, by je pomieścić w przedziałach już zatłoczonych do granic pojemności. Pamiętam, jak mężczyzna obarczony pół tuzinem bagaży mozolnie je pakował do przedziału nie zważając na protesty stłoczonych pasażerów, którzy już utyskiwali z powodu braku miejsca i w końcu widząc kolejne walizki wkładane im na głowy, otworzyli drzwi z drugiej strony i wyrzucali bezceremonialnie bagaże na przeciwległy peron.

Po długim postoju pociąg wreszcie ruszył z dworca i wyjechał z miasta a wnet potem i ze Śląska, kierując się przez graniczną Przemszą na wschód do Małopolski. Mijaliśmy pociągi wojskowe z żołnierzami pełnymi animuszu. Na trójnogach sterczały karabiny maszynowe mające chronić przed atakami lotniczymi. Na bezchmurnym niebie ciągnęły eskadry srebrzących się samolotów. "Te srebrne samoloty są czeskie", pocieszali się ludzie, chcąc jakoś dezawuować potęgę nieprzyjaciela.

Z wysokiego nasypu, na którym zatrzymał się pociąg, byliśmy świadkami bombardowania Krakowa i niskich, krótkich lotów polskich myśliwców nie chcących się narażać liczniejszemu i szybszemu nieprzyjacielowi.

Na dworcu krakowskim było ludno, ale ludzie stali jeszcze posłusznie przy kasach po bilety. W jednym z ogonków zauważyłem swojego profesora matematyki z

Tarnowskich Gór, Brońca. Załadowaliśmy się do pociągu jadącego do Lwowa. Był przepełniony. Zaraz po wyjeździe oglądaliśmy leżący obok toru zbombardowany pociąg, ciała leżały nietknięte przez nikogo. Samoloty latały niebezpiecznie blisko. Jechaliśmy wolno dalej. Często, kiedy pociąg nasz musiał przystawać, pasażerowie gnali w pole biegnąc jak szaleni jak najdalej od torów w obawie przed atakiem. Przypominam sobie, że jadący z nami umundurowani wojskowi przodowali w tych biegach. Potem wracaliśmy do wagonów i ruszali dalej.

Nadeszła noc, a ponieważ jechało z nami wielu Żydów, zaczęły się w całym pociągu głośne modły szabasowe i śpiewanie. W ciemności, w atmosferze nieznanej religijnej euforii zbliżaliśmy się do Lwowa.

Wyszedłem z Wieczorkiem na miasto. Oglądaliśmy pierwsze trafione przez bomby kamienice, bodaj przy ulicy Krótkiej. Najwidoczniej chybiły celu. Były ofiary wśród ludności cywilnej. Wróciliśmy na dworzec, a mając czas do odejścia pociągu do Stryja, zamówiliśmy obiad. Kiedy jedliśmy z apetytem ciepłą strawę, zawyły syreny, a potem rozległo się terkotanie karabinów maszynowych obrony przy hali dworcowej. W panice razem z innymi, pozostawiwszy wszystko bieглиśmy do schronu. Kiedy alarm minął, nikt już nie inkasował pieniędzy. Pod wieczór odjechał lokalny pociąg do Stryja. Wyszliśmy w szczerą noc na małej stacyjce, której nazwy nie pamiętam. Opadło nas natychmiast kilku mężczyzn uzbrojonych w długą broń palną. Obawiano się dywersantów i szpiegów. To lokalna straż obywatelska czuwała nad bezpieczeństwem. Czekaliśmy razem z nią do rana na dreżynę przedsiębiorstwa (Skarbofermu?), która nas zawiozła do odległej wsi na tereny budowy.

Dzieci i żona Wieczorka ucieszyły się ogromnie z przyjazdu ojca. Byli teraz razem, a do dyspozycji mieli mały samochód marki Steyer, którym odbyłem pierwszą w życiu przejażdżkę prywatnym samochodem po rozległej górskiej wsi.

Zamieszkałem w chacie jednego z zaprzyjaźnionych gospodarzy. Płaciłem drobną kwotę za stancję i kupowałem sobie chleb, masło i mleko rozmieniwszy banknot. Zacząłem oszczędne życie czternastolatka w szerokim świecie. Górska, zalesiona okolica łądziła sielankowym krajobrazem i spokojem, choć już dochodziły wieści o podpaleniach i mordach, o ukraińskich bandach napadających na gospodarstwa. Na niebie pojawiały się niekiedy niemieckie samoloty zwiadowcze, ale przelatywały

dalej. Słuchaliśmy radia. Jego meldunki były tajemnicze i niejasne. Zaczęły szerzyć się plotki, domysły i zmyślenia.

We wsi, w której był tartak i budowano kościół katolicki, pojawiło się trzech urzędników pocztowych pracujących na Śląsku. Skorzystali oni z przymusowego pobytu, by zamówić u lokalnego szewca oficerki. Za te śliczne buty z cholewami z cieniutkiej skórki zapłacił jeden z nich, dobrze pamiętam, woreczkiem z grosikami w sumie 60 złotych. (Nie wiem, co było na terenach zajętych przez Sowieców, ale Niemcy zdewaluowawszy polskie pieniądze, pozostawili przez pewien okres wartość grosza i bodaj dwugroszówki).

Parotygodniowa sielanka w krainie odciętej od świata nie mogła jednak trwać bez końca. Wieści o podpalaniu przez Ukraińców gospodarstw polskich zaczęły niepokoić, a wreszcie gruchnęła wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do wschodniej Polski.

Wieczorek pospiesznie spakował rodzinę, na wolne miejsce w samochodziku wziął swojego czeladnika. Mnie kazał wracać na własną rękę. Niespodziewanie jednak zgodził się zabrać moją niklowaną wiatrówkę i, o dziwo, jakimś cudem dowiózł ją rodzicom!

Dla mnie zaczęła się prawdziwa odyseja. Przyłączyłem się do pocztowców ze Śląska, nasz kierunek wędrówki był ten sam. Nie chcieliśmy za żadną cenę znaleźć się w mocy Sowieców. Miałem przy duszy złoty zegarek i osiemdziesiąt złotych. Wynajętą furmanką wyjechaliśmy w kierunku Borysławia i Drohobycza. Jechaliśmy rankiem na północny zachód czując, że załamuje się pozorny spokój. W przysiółkach i wsiach, przez które wypadło nam jechać, krążyli ludzie w podejrzanym ożywieniu. Kiedy przystawaliśmy, wyrastali spod ziemi chłopcy, którzy bezceremonialnie chwyтали konia za uzdę wołając, że to ich „kiń” i wszczynali awanturę, z której jakimś cudownym zarządzeniem udawało nam się uwalniać i jechać dalej. Pod Borysławiem w lesie na daremno krzyczeli na nas Ukraińcy żądający, byśmy się zatrzymali. Pocztowcy kazali jechać szybciej, a w pewnej chwili, kiedy bojówka ukraińska zaczęła ścigać wóz, w ich ręku pojawiły się pistolety, które Ukraińców powstrzymywały na dystans, choć nadal ciągnęli za nami. Najwidoczniej nie mieli amunicji do strzelb, którymi wymachiwali, więc uciekliśmy im z duszą na ramieniu i z ogromną ulgą zobaczyli,

kiedy wyjechaliśmy z lasu, niemiecki posterunek. Nie zapomnę wyrazu zdumienia na twarzy Niemca, który zapytawszy rutynowo, czy posiadamy broń, zobaczył dwa okazałe pistolety, które pocztowcy mieli w pogotowiu na wozie. Po rozmowie, urzędnicy znali niemiecki, oddaliśmy broń, a w komendanturze otrzymaliśmy zaświadczenie na cztery osoby jadące na Śląsk.

Nad Drohobyczem stały nadal jeszcze czarne chmury płonącej rafinerii zbombardowanej na początku wojny. Zaopatrzywszy się w chleb spędziliśmy na kwaterze noc słuchając strzałów patroli, strzegących zakazu poruszania się w nocy.

Kolejną furmanką pojechaliśmy do Sambora i Chyrowa. Stamtąd zajechaliśmy do Sanoka. Przez Krosno trafiliśmy do Jasła. Zawieziono nas tam jakąś ciężarówką. Niemiecką? Pamiętam tylko, że kiedy zeskoczyłem z wozu na ziemię, podeszły do mnie dwie kobiety i zaprowadziły do swojego domu, gdzie nakarmiwszy mnie, ofiarowały nocleg. Było to przy ulicy Sobieskiego? Następnego rana jechaliśmy do Tarnowa i tam załadowaliśmy się do towarowego pociągu z jeńcami jadącym na zachód do Niemiec. Wtedy bodaj stałem się właścicielem solidnego koca ułańskiego, który ktoś porzucił. Tak dojechaliśmy do Krakowa., gdzie pocztowcy postanowili wysiąść i trzeba się było z nimi pożegnać. Straciłem nie tylko pomocnych bardzo towarzyszy, ale ponadto wspólną przepustkę, którą zabrali z sobą. Jechałem dalej sam, chłopak ledwo czternastoletni, w gimnazjalnym mundurku, z wojskowym kocem, ale bez żadnego dowodu osobistego wśród przygnębionych jeńców wojennych eskortowanych do obozów przez niemieckich konwojentów.

Sunący wolno pociąg zatrzymał się na szczęście na dworcu w Katowicach. Nie poznałem go zupełnie. Wszędzie wisiały niemieckie flagi i szwabachą czerniejące napisy *Kattowitz*. Udało mi się wyskoczyć na peron. Roilo się od niemieckich żołnierzy. Zbliżyłem się ostrożnie do wyjścia z dworca: żołnierz stał przy kolejarzu odbierającym bilety.

Nie miałem żadnego biletu. Zacząłem się kręcić w pobliżu przeszukując na próżno kieszenie. Namacałem proszek na ból głowy tzw "kogutek", którego opakowanie kolorem i wielkością nie różniło się tak bardzo od formatu kartonika biletu. Myśląc gorączkowo nad sposobem wydostania się na miasto, zauważyłem, że zbierający bilety robił to machinalnie i byle jak, mało zważając na wkładane mu do ręki bilety.

Nie namyślając się długo wszedłem między kilka osób i kiedy przyszła moja kolej, włożyłem proszek między bilety trzymane w dłoni przez nieuważnego kolejarza. Znalazłem się po drugiej stronie bariery i drutów kolczastych okalających perony. Byłem już w hali dworca, a kolejarz oglądając później zebrane bilety pewnie się raczej ucieszył znajdując proszek zamiast tekturki.

W lot zorientowawszy się w sytuacji wybiegłem na miasto. Po kwadransie pukałem do drzwi mieszkania wujostwa. Kończył się wrzesień. Wróciłem z niespodziewanego wojażu cały i zdrowy. Nie rozumiałem dobrze, jak to się wszystko stało i co znaczyło. Tuliłem mocno koc, w kieszeni miałem złoty zegarek i sześćdziesiąt złotych.

Ucieczka polskiego oficera z transportu do Starobielska

Barbara M. J. Kukulska

Żyli wśród nas cisi bohaterowie II wojny światowej. Zupełnie przypadkowo, w rozmowie z Przemkiem Dąbrowskim zamieszkałym z rodziną w Pretorii, okazało się, że przyjechał z Anglii z rodzicami do Południowej Afryki mając zaledwie sześć lat, w lutym 1948 roku.

Historia to niezwykła i zupełnie nie znana tutejszej Polonii. Jego ojciec będący oficerem, uciekł we wrześniu 1939 roku z transportu kolejowego skierowanego do Starobielska. Pociąg był pod ścisłą kontrolą NKWD, a jednak udało się Zygmunтови Dąbrowskiemu w sposób nieprawdopodobny zmylić pilnujących i wydostać z wagonu, co uratowało mu życie.

Major dypl. inż. Zygmunt K. Dąbrowski (ojciec Przemka) opisał wspomnienia z września 1939, w pracy konkursowej w r. 1980, która w r. 1986 wraz z innymi nagrodzonymi pracami konkursowymi została wydana w formie książki przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie i Fundusz Kazimierza F. Vincenza w Szwajcarii.

Zygmunt Dąbrowski był odkomenderowany z wojska na studia na Politechnice Warszawskiej na wydziale mechanicznym sekcję uzbrojenia które ukończył w roku 1937 z tytułem inżyniera mechanika. Po wybuchu wojny mając stopień porucznika dostał przydział w Wojskowym Instytucie Przeciwwgazowym w Warszawie i 4 września 1939 roku zameldował się tam na podstawie planu mobilizacyjnego „z czerwonym paskiem”. Pogłoski głosiły, że front zachodni trzyma się bardzo dobrze. Pomimo tego zwierzchnicy Wojskowego Instytutu zdecydowali się na zabezpieczenie całego sprzętu Instytutu i przewiezienie w nocy z 4 na 5 września na drugą stronę Wisły do Mińska Mazowieckiego. W dniu 5 września por. Dąbrowski otrzymał rozkaz zmiany miejsca postoju i dojechania na własną rękę do Mińska Mazowieckiego.



Zdjęcie ślubne Marii i Zygmunta Dąbrowskich. Pobrali się w Warszawie, 28 czerwca 1934 r. w kościele św. Krzyża.

Był od pięciu lat żonaty z Marysieńką, która pakując do jego walizki kilka bochenków chleba i puszki konserw, naraz nieoczekiwanie zawołała:

- Ja jadę z tobą! Wyjęła z walizki jeden bochenek chleba i włożyła na jego miejsce parę swoich rzeczy. Zamknęła walizkę i była gotowa. Ubrana była w ciemnozielony kostium sukienki wyglądający jak mundur.

Opisuje dalej:

Miałem jechać na własną rękę koleją i nie widziałem, abym przekraczał jakikolwiek punkt regulaminu służby biorąc Sieńkę (dop. aut.: skrót od

MarySieńki) ze sobą. Zabrałem walizkę i polowy płaszcz wojskowy, a Sienka w rękę wzięła swoją jesionkę brzoskwińową. Poszliśmy do tramwaju. Pamiętam, że się obejrzałem na dom, w którym przeżyliśmy nasze pierwsze pięć lat małżeństwa tak szczęśliwie. Zobaczyłem jak właścicielka domu wychyliła się z okna i przeżegnała nas odchodzących krzyżem. Dom ten, jak się dowiedzieliśmy później, został w kilkanaście dni później trafiony pociskiem artyleryjskim przez Niemców oblegających Warszawę. Był on na ulicy Ursynowskiej 24.

Niedaleko Dworca Głównego znajdowało się biuro Orbisu, gdzie por. Dąbrowski wstąpił po mapę Europy, aby być zorientowanym i „móc obserwować jak i gdzie Alianci nasi zaatakują Niemcy”. Odległość pomiędzy Warszawą a Mińskiem Mazowieckim to zaledwie 50 km.

Pociąg stawał wiele razy i biegaliśmy w pole do rowów, lub pod drzewka, gdy samoloty leciały. Ani jedna bomba na nas jednak nie spadła, ale jazda była tak zwolniona, że wreszcie zapadła czarna noc, a my ciągle jechaliśmy i stawaliśmy.

Po ośmiu godzinach dojechali do Mińska Mazowieckiego. Tam okazało się, że Instytut ma rozkaz dalszej ewakuacji na Brześć. Skierowano ich do towarowego pociągu, gdzie było wielu „oficerów z Instytutu, którzy też z żonami przenosili się z Warszawy do Mińska Mazowieckiego”.

Dotarli do Siedlec, a stamtąd po kilku dniach jazdy dojechali do Lwowa w dniu 10 września. Wojskowy Instytut Przeciwigazowy miał pracować na Uniwersytecie Lwowskim w pracowniach Wydziału Chemicznego. Już 12 września zarządzone alarm na Uniwersytecie. Rozdzielono kadrę Instytutu na trzy części i kolejno opuszczano w pośpiechu miasto Lwów. Część kadry wraz ze sprzętem Instytutu wysłano na samochodach ciężarowych. Następne grupy wymaszerowały ze Lwowa 13 września

piękną drogą, z obu stron wysadzaną drzewami, kierując się na Złoczów. Był piękny słoneczny dzień. (Żona) Sienka żwawo maszeruje w jednej czwórce ze mną, por. Sajdakiem i ppor. Szpyrkowiczem. Jedyne bagaż, jaki mieliśmy, to była moja torba oficerska, zawierająca najniezbędniejsze rzeczy.

Walizki i wszystkie rzeczy stanowiące ekwipunek zmagazynowali przed wymarszem w podziemiach Uniwersytetu Lwowskiego. Nigdy już tam nie wrócili. Maszerowali i byli podwożeni podwodami.

Nad ranem 15 września w piątek dotarliśmy do grupy chatek, należących do jakiejś osady, czy wsi, w pobliżu Brodów i poszliśmy spać w stodole na sianie. Nagle obudziła nas kanonada strzałów armatnich od wschodu. Zerwaliśmy się, bo gdzież nam było do spania! Czyżby Sowiety uderzyły nas zdradziecko? Jeśli tak, to przecież byłaby niewiarygodna katastrofa dla nas i już mowy by nie było do kontynuacji zorganizowanego oporu naszej armii.

Okazało się, że „lotnik niemiecki bombardując stację kolejową trafił w pociąg z amunicją artyleryjską, która wybuchła samoczynnie, choć samolot nieprzyjacielski dawno odleciał.” Z Brodów odesłano oddział na północ do Dubna, gdyż dowódca garnizonu Dubna zgodził się na przyjęcie Instytutu do tworzonej przez niego Legii Oficerskiej.

Dołączenie miało nastąpić w niedzielę 17 września 1939 roku.

Ale gdy ten dzień nadszedł, jednocześnie z nim nadeszła wstrząsająca wiadomość, otrzymania której tak się obawialiśmy dwa dni temu: Armia Czerwona wkroczyła do Polski. W Dubnie ich jeszcze nie było.

Dowódca oddziału

zarządził odprawę dla wszystkich oficerów Instytutu. Zawiadomił nas, że wkroczenie Sowieców do Polski jest pogwałceniem i zerwaniem wszelkich umów z Polską, ale że nie ma rozkazu stawiania im oporu zbrojnego.

Zastanawiano się co w tej sytuacji zrobić, kiedy oddział znajdował się daleko na północ. Najwłaściwsze wydawało się iść na Rumunię i dalej na zachód do nowej Armii Polskiej. Jednak ten plan był nie do zrealizowania, gdyż trzeba przejść przez wrogie Polakom tereny wsi ukraińskich dzielących oddział od Rumunii.

Po naradzie oficerskiej dowódca major Brzozowski zdecydował, że oddział rusza w

kierunku Warszawy. Do przebycia były Demidówka, Beresteczko i dalej bocznymi drogami na zachód. Dowódca przekazał, że

oficjalne cele wkraczających bolszewików nie są znane, ale na pewno oni nie idą, aby się bić z Niemcami i na pewno nie jest ich celem wsparcie i utrzymanie Armii Polskiej. Im dłużej unikniemy zetknięcia z nimi, tym lepiej będzie dla naszego oddziału.

Oddział dotarł aż do rzeki Bug i nie spotkał na swej drodze czerwonoarmistów. Natomiast dowódca z Dubna wraz z utworzoną przez niego Legią Oficerską skierowali się

na południe, gdzie już pierwszej nocy zostali ostrzelani przez sowieckie karabiny maszynowe i wkrótce wszyscy znaleźli się w łapach bolszewickich. Prawda, że los ich potoczył się tym samym torem, co i ewentualnie i naszych oficerów: Szepietówka, Kozielsk lub Starobielsk, a potem różne Katynie!

Oddział wędrując bez przerwy, korzystał z podwodów. Napotykali na drodze inne oddziały polskie, które też obrały kierunek przez historyczne miasteczko Beresteczko. Kolumny wymijały się, zjeżdżały z drogi. Całe wzgórze pokryte było masą taborów, artylerii i różnych oddziałów maszerujących na zachód. Oddział dotarł do polskiej wsi osadników wojskowych Drużkopól. Mężczyźni z tej wsi pracowali jako policjanci w Horochowie i zdecydowali, że będą trwać na swoich posterunkach.

Wszyscy ci Polacy czekają na nieznaną i nieuchronną przyszłość bezradnie, a my zdajemy sobie sprawę z tego, że ona będzie straszna. I niewątpliwie taką była!

Dowódca oddziału „mjr Brzozowski zarządził odprawę: Warszawa walczy dalej! Maszerujemy do niej!” Major Brzozowski kupił dodatkowy wóz od hrabiego Potockiego i dostał też od niego przewodnika do wskazania bocznych dróg, aby uniknąć spotkania z bolszewikami. Ludność ukraińska dekorowała kwiatami bramy wjazdu do miejscowości na powitanie Armii Czerwonej. Natomiast w polskich wioskach goszczono ich chlebem i mieli zapewnione bezpieczne noclegi. Oddział

zbliżał się do wiosek ukraińskich. Ukraińcy zrobili zasadzkę na zwarty oddział polskiego wojska i zmusili do oddania broni i amunicji.

Fakt rozbrojenia odczuwaliśmy jako policzek, jako fizyczny ból, jako hańbę dla munduru żołnierza polskiego. Inna sprawa, że zasadzka była dobrze pomyślana i miejsce na nią kapitalnie wybrane. Pewno, że mogliśmy próbować rozpierzchnąć się do domów wzdluż drogi i bronić się z nich, ale z taką bronią jaką my mieliśmy, to było bezsensowne. Zresztą, co by nam to dało? Nie mieliśmy się gdzie przebijać ani też znikąd oczekiwać pomocy! Szliśmy dalej. Przeszliśmy przez wieś, potem koło tego lasu skąd do nas poprzednio strzelano.

Oddział kierował się na Poryck do mostu przez Bug, ale chciał uniknąć spotkania na swej drodze bolszewików. Otrzymali meldunek, że bolszewicy już są we Włodzimierzu Wołyńskim. Wcześniej była osada czeska, gdzie dowiedzieli się, że z Porycka nie da się przejść na drugą stronę Bugu. A jednak próbowali dostać się jak najbliżej rzeki. Na drodze zatrzymani zostali przez uzbrojonych Ukraińców, którzy zrewidowali wojskowych szukając broni. Po przeszukaniu, wydali zaświadczenie o rewizji i o nie posiadaniu broni. Po wkroczeniu do Porycka spotkała ich ponowna kontrola i skierowanie na nocleg do czeskiej wsi. Utworzony był tam komitet samorządowo-czerwony, który przydzielił oddziałowi urzędowego przewodnika z przepustką pozwalającą na poruszanie się tylko do 15 km.

Maszerujemy, budząc ciągle zdziwienie spotykanych ludzi, skąd się tu naraz wziął zwarty i zdyscyplinowany oddział wojska polskiego. I znów kontrola naszej przepustki przy jakiejś bramie triumfalnej zbudowanej dla Sowietów z zieleni, z kwiatkami już zwiędłymi.

Nie dano im spokojnie przejść, zostali otoczeni przez Ukraińców wymachującymi karabinami i krzyczącymi na nich. Sytuacja była coraz groźniejsza, gdyż oddział znajdował się na terenie zajęтым przez Sowietów.

Jedynym światłem przed nami była ta broniąca się Warszawa, do której chcieliśmy dotrzeć, nawet nie zastanawiając się, jak my do niej się dostaniemy.

Ukraińcy zmusili oddział do marszu drogą prosto do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie zajęła im drogę czerwony samochód z „komandirami” sowieckimi. To byli NKWDziści mówiący do nich po rosyjsku i ponownie kontrolujący, rewidujący. W mieście po których ulicach jeździły polskie samochody osobowe z sowieciarzami w środku, skierowano oddział do dużej bramy.

My ciągle jeszcze mieliśmy złudzenia, że nas sprawdzą i pozwolą iść dalej, za Bug, ...teraz nadzieje nasze zmalły. Rozejrzeliśmy się. Przed nami widać wysoki długi mur.

Okazało się, że to było więzienie. Oficerowie sowieccy w czapkach z okrągłymi daszkami z granatowym otokiem NKWD, wy pytali polskich oficerów o ich dane. To, że są pracownikami naukowymi Wojskowego Instytutu, nie przekonało ich i po kolei zostali zapisani w książkach ewidencyjnych. Jedynie żona, Marysieńka Dąbrowska została wypuszczona w nocy i ulokowana u Polaka aptekarza we Włodzimierzu Wołyńskim.

2

*Świeżono z Księgi
Księgi d'office*

RYSOPIS - SIGNALEMENTS

FOTOGRAFIE - PHOTOGRAPHIES

Rok urodzenia Date de naissance	<i>12. III 1909</i> 1896	Zona - Femme 1909
Miejsce urodzenia Lieu de naissance	<i>Grodzisk Maz.</i>	<i>Warszawa</i>
Stan Etat civil	<i>żony - marié</i>	
Zatrudnienie Profession	<i>inżynier - ingénieur</i>	
Wzrost Taille	<i>średni - moyenne</i>	<i>średni - moyenne</i>
Twarz Visage	<i>owalny - ovale</i>	<i>owalny - ovale</i>
Włosy Cheveux	<i>c. blond - blonds f.</i>	<i>c. blond - blonds f.</i>
Oczy Yeux	<i>niebieskie - bleus</i>	<i>szare - gris</i>
Znaki szczególne Signes particuliers	/	

DZIECI - ENFANTS

Wiek
Age: *inżynier i 12. III 1909*

Płeć
Sex: *inżynierka et 12. III 1909*

Podpis posiadacza
Signature du porteur

Zygmunt Dąbrowski *Maria Dąbrowska*

KONSTANTY
GENERALNY
POLSKI
W LONDYNIE

Paszport Marii i Zygmunta Dąbrowskich wystawiony w Budapeszcie. Czerwonych skreśleń dokonano w Londynie.



Paszport Marii i Zygmunta Dąbrowskich wystawiony w Budapeszcie. Polscy oficerowie zostali umieszczeni w kwadratowej dużej celi z małym zakratowanym okienkiem u góry. Do rewizji zabrano wszystkie torby, paczki. W torbie por. Dąbrowskiego znaleziono kilka naboji rewolwerowych luźno leżących, których zapomniał oddać wraz z bronią przy kontroli Ukraińców. Ledwo udało się dowódcy polskiemu obronić go przed natychmiastowym rozstrzelaniem.

Rano strażnik podał Zygmuntowi kartkę przekazaną przez żonę z adresem, gdzie przebywała. Około południa wyprowadzono wszystkich więźniów na dziedziniec. Więźniami byli oficerowie i podoficerowie wojska polskiego. Zgromadzono ich tam bardzo dużą grupę. Około południa, dnia 23 września 1939 roku, po otwarciu bramy więzienia wyprowadzono wojskowych poza bramy.

Przy każdym szeregu czwórki, z każdej strony szedł krasnoarmiejec z bagnetem na karabinie. Kolumna oficerów i podoficerów maszerowała ustawiona w szyku według starszeństwa; starsi oficerowie na przodzie, potem stopniowo młodszy

stopniem, potem podoficerowie i szeregowi. Gdy ładowano wagony na przodzie, niedaleko nas zebrała się grupa kobiet, żon oficerów garnizonu z Włodzimierza Wołyńskiego.

Odszukały swoich mężów i rozmawiały z nimi płacząc. Ja odezwałem się do którejś z pań i poprosiłem, żeby dała parę rzeczy mojej żonie, która nie wie, że mnie wywożą. Dałem jej adres Marychny, paręset złotych, bo przecież była bez grosza oraz jej paszport, który miałem w mojej torbie oficerskiej. Tymczasem ładowanie wagonów postępowало i po chwili zaczęto ładować do wagonów tuż przede mną, a że my byliśmy na końcu kolumny oficerów polskich, więc załadowano nas, jako ostatnich oficerów do przedostatniego wagonu. Ostatni wagon zawierał tylko podoficerów i szeregowych. (...) Skoble suwanych drzwi naszych wagonów towarowych były zawiązane na zewnątrz drutem, czego dokonywano natychmiast po załadowaniu kolejnego wagonu.



Por. Zygmunt K. Dąbrowski.

Wewnątrz wagonu, w którym było 40 ludzi, oficerowie rozlokowali się na podłodze i na małej mapce, którą ktoś posiadał, wykreślili przypuszczalną trasę pociągu: Kowel, Równe, Zdołbunów. Zastanawiali się, gdzie zostaną przewiezieni w eskorcie krasnoarmiejców.

I wtedy ktoś zapytał: - Co oni z nami zrobią?, a z przedniego końca wagonu rozległ się stanowczy głos: - Oni nas zabiją! Nikt nie podjął dalszej dyskusji na ten temat!

Na stacji Równe, zaczęto ponownie sprawdzać dokumenty więzionych w wagonach ludzi i zwalniać cywilnych, którzy przypadkowo tam się znaleźli. Ktoś idąc do kontroli wyrzucił płaszcz żołnierski. Został on natychmiast złapany przez przyjaciela i przekazany Zygmuntowi, który swój piękny, dopasowany płaszcz oficerski stracił

wcześniej podczas przeprawy z Ukraińcami.

Pociąg jechał wolno i po dwóch dniach 25 września dojechał do stacji Zdołbunów, gdzie zaczęto wypuszczać po 5-6 osób na „potrzeby własne”. Drzwi wagonu zasuwane były przez cały czas, a pilnował porządku krasnoarmiejec z karabinem w ręku. Por. Dąbrowski został wypuszczony w drugiej grupie. Pociąg wiozący polskich oficerów, był jedynym na stacji, gdzie wagony (z wyjątkiem ostatniego) były zamknięte, zadrutowane i pod strażą. W pociągu tym byli m.in. oficerowie którzy wraz ze swymi oddziałami stawiali zbrojny opór bolszewikom. Por. Dąbrowski niepostrzeżony, robiąc małe kroki, przesunął się ze swojej oficerskiej grupy do grupy podoficerów i szeregowców przy ostatnim wagonie, w którym „było lepsze traktowanie”. Żołnierski płaszcz, który miał na sobie przykrywał ubiór oficera.

Krasnoarmiejcy

po pewnym czasie zdecydowali, że nasza grupa ma już wsiadać do wagonu... Ja na to zrobiłem dalszy krok w bok, który mnie całkiem dołączył do „nie oficerów”, od których nie odróżniałem się strojem zewnętrznym, poza eleganckimi butami oficerskimi.

Atmosfera w tym wagonie nie była tak napięta jak w wagonie oficerskim.

Na środku wagonu stała skrzynka otwarta z jabłkami, sprzedano mi kilka za 5 zł. Dostałem też chleba za 2 zł. Potem ktoś, kto miał sporo liści tytoniowych, zrobił transakcję ze mną i znalazłem się w posiadaniu sporej paczki. Dałem potem połowę ich przez okno [por.] Sajdakowi i [ppor.] Szpyrkowiczowi (dop. aut...: przyjaciołem z wagonu oficerskiego). W pewnej chwili, nie wiadomo skąd i od kogo, wieść się rozeszła, że możemy wychodzić z wagonu, że jesteśmy wolni na stacji Zdołbunowa. Drzwi wszystkich innych wagonów naszego pociągu były dalej zawiązane drutem i straż z ręcznymi karabinami maszynowymi dalej przy nich stała. Przysunąłem się pod okienko mego dawnego wagonu. Dałem te moje tytoniowe liście Sajdakowi i powiedziałem, aby wzięli sobie moją torbę oficerską. Od tych wagonów pilnowanych odsunąłem się jednak, uważając bliskość ich za teren ryzykowny. Gdy odchodziłem z ciężkim sercem, z okien mego wagonu patrzyły za mną głowy milczące. Wagon nieoficerski był już pusty. Odtąd już nikt

nie miał szansy ucieczki. Poszedłem na sąsiednie tory bezcelowo, nie wiedząc właściwie, gdzie mam iść i co robić...

Okazało się, że na długim placu miasteczka, bolszewicy zarządzili zbiórkę żołnierzy. Rozsyłano to wielkie nagromadzenie polskich żołnierzy w trzech kierunkach „do domów”. Ustawiony w dwuszeregu wraz z żołnierzami, zwracał uwagę swoimi oficerskimi butami. To wpłynęło na niepokój por. Dąbrowskiego, gdyż obawiał się ponownego uwięzienia i wywózki. Dlatego też, aby temu zapobiec, starał się niepostrzeżenie „wyłuskać” z dwuszeregu i widząc małego chłopca w polskiej harcerskiej czapce, podążył za nim oddalając się od placu. Chłopiec zaprowadził go do swoich rodziców, którzy byli polskimi kolejarzami.

Powiedziałem im, że jestem oficerem, że na zbiórce zarządzanej przez bolszewików moje buty zwracały uwagę i prosiłem, czy nie mają zwykłych butów które mógłbym odkupić od nich w zamian za moje oficerskie.

Przynieśli dziurawe buty, które w tej sytuacji miały wartość życia. Zostawił tam swoje piękne buty, spodnie - bryczesy, kurtkę wojskową z tak zwanej rogózki. Po wyjściu od przyjaznej rodziny kolejarzy, w najbliższych krzakach zniszczył dokumenty świadczące o jego tożsamości: legitymację oficerską, indeks Politechniki Warszawskiej oraz inne papierki, które mogły go zdradzić. Zostawił tylko tymczasowe zaświadczenie ukończenia Politechniki, gdzie nie było jego zdjęcia w mundurze oficerskim. W nadmiarze pilności darcia dokumentów podarł „papierek” banknotu stużłotowego, którego później nie mógł odzłować. Zegarek z nadgarstka ręki przełożył na pasku w okolicy łokcia. Wmieszał się w grupę ludzi stojącą w kolejce po chleb.

Chleba ciągle jeszcze nie było, więc w myśl zasady, że lepiej głodno, ale bezpiecznie w tłoku, zrezygnowałem z chleba, zostawiłem kolejkę i dołączyłem do żołnierzy, którzy mi powiedzieli, że jadą na Wołkowysk. Przed furtką stał krasnoarmiejec z bronią.

Po podstawieniu pociągu,

wywoływano: - Białorusini wystąp! Między innymi i ja wystąpiłem (dop. aut.: por. Dąbrowski dość dobrze władał rosyjskim, gdyż w dzieciństwie mieszkał przez kilka lat w Rosji).

- Siadać do pociągu! Potem: - Ukraińcy wystąp! Siadać!

Wreszcie: -Polacy! A mało ich było, bo już dawno posiadali, jako inne narodowości.

W Kowlu przesiadł się na pociąg idący do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie czekała na niego żona Marysieńka. Podczas przejścia z jednego toru na drugi zatrzymany został

przez krasnoarmiejca: - Czasy imiejetie? Odpowiedziałem „Niet” i odsunąłem rękaw, aby pokazać, że nie mam zegarka.

Doszedłem do pociągu, odszukałem wagon drugiej klasy, wszedłem. Byli tam nasi żołnierze, ale było wolne miejsce, więc usiadłem. I tak siedziałem cały dzień od świtu do zmierzchu. Wyszedłem raz, czy dwa i upewniłem się, czy siedzę w dobrym pociągu. „A kiedy odejdzie?” „Niedługo”. Wracałem na swoje miejsce, do mego przedziału...Wreszcie noc. Pociąg stoi ciągle, a ja się boję, aby rewizji i sprawdzania dokumentów nie było, jako że, kto tu siedzi na stacji w nocy? No i raz wychodzę na peron - pusto, nikogo nie ma, nie ma kogo zapytać. Może jednak jest jakiś inny pociąg do Włodzimierza Wołyńskiego z innego toru!

Przez tę wielką niecierpliwość, wpadł w poważne tarapaty. Ledwo uszedł znów z życiem, gdy zaczął w nocy chodzić po nieoświetlonych torach. Natrafił na służbistę krasnoarmiejca, który wycelował w niego karabin z wysuniętym bagnetem. Nie słuchając jego wyjaśnień doprowadził go do podoficera, który kazał mu strzelać, gdyby aresztowany próbował ucieczki.

Następnie do oficera sowieckiego, który to

komandir raczej zmęczonym tonem powiedział do żołnierza, aby zabrał mnie do krasnoarmiejca stróżującego przy pociągu i spytał go, czy istotnie ja wyszedłem z

pociągu. Żołnierz do mnie z bagnetem znowu i wyprowadził mnie na peron. Idziemy kilka kroków i jak tylko wyszliśmy poza zasięg światła lampy koło drzwi komandira, żołnierz wrzucił karabin pod pachę, powiedział do mnie - Stupaj i ja powędrowałem do swego pociągu, a on zniknął w ciemności... Około 7 rano pociąg ruszył i około 11 byłem we Włodzimierzu Wołyńskim. Dworzec stał daleko od miasta, do którego prowadziła długa, szeroka i pusta ulica.

Por. Zygmunt Dąbrowski nie znał miasta i bał się zapytać o drogę na ulicę Dubnicką, gdzie u polskiego aptekarza zatrzymała się jego żona. Po jakimś czasie odnalazł ulicę i wszedł do kuchni domu. Wyglądał żałośnie; nieogolony z zarostem pięciodniowym, w obdartych brudnych butach, w spodniach z dziurami, oraz swetrze brązowym widocznym spod żołnierskiego płaszcza bez pasa.

Wszedłem do kuchni i prawie na wprost zobaczyłem Sieńkę, która postawiła coś co miała w ręku i podbiegła do mnie, a różne panie (uciekiniarki, czy żony wywiezionych oficerów) zawołały widząc nasze powitanie - Co, wypuścili? Przeraziły się i cofnęły, gdy odpowiedziałem - Nie, ja uciekłem. - A co z innymi? - Wywieźli ich do Rosji!

Na tę moją informację słów wszystkim zabrakło i Sieńka zabrała mnie z kuchni do pokoiku, w którym mieszkała. Opowiedziałem jej, co i jak było i ona poszła podzielić się tym z gospodarzami. Kiedy przyszła, przekazała mi, że się boją, żeby mnie nie zauważono i że musimy odejść jak najszybciej. Zgodziłem się chętnie, bo i mnie zależało na tym, aby zlikwidować się szybko z tego terenu. Zdecydowaliśmy się ruszyć w drogę o świcie następnego dnia... Pod wojłokową okładzinę manierki zaszyłem swoje papierki jakie jeszcze zachowałem oraz okrajaną na owalny kształt boku manierki legitymację kolejową, którą Sieńka miała razem z paszportem (wydaną przez władze wojskowe, jako żonie oficera). Robiąc to wsadziłem paszport żony pod papier okrywający blat biurka, tymczasowo, ale niestety zapomniałem o tym i paszport został tam na zawsze.

O świcie osobno opuścili dom aptekarzy, umawiając się na drodze pomiędzy miastem a stacją kolejową, gdyż nie chcieli, aby ktoś ich widział razem. Był duży ruch i w tym zamieszaniu minęli się, a to mogło pociągnąć zgubne konsekwencje, gdyż

Marysieńka Dąbrowska czekała na dworcu i tam zaczepił ją komandir sowiecki.

Po wyrażeniu wspólnej radości, że któregoś z nas nie przyłapali, poszliśmy w kierunku na Uściług i most na Bugu. Doszliśmy do mostu i przeszliśmy spokojnie. Idąc dalej na Hrubieszów spotkaliśmy kolumnę jeńców polskich, całe oddziały: żołnierze z podoficerami i oficerami. To były te oddziały, które będąc osaczone przez bolszewików z jednej strony, a nie mając już amunicji do walki z Niemcami, którzy naciskali ich z drugiej strony, poddali się bolszewikom. Zupełnie tak jak we Lwowie, gdzie bolszewików - bardzo mylnie niestety - nienawidzono mniej, niż Niemców! Potem wszyscy ci oficerowie byli zamordowani przez NKWD.

Kolumny ich maszerowały w milczeniu na wschód, po lewej stronie od nas otoczone krasnoarmiejcami z bronią. Sieńka i ja szliśmy z duszą na ramieniu ścieżką po prawej stronie drogi i szczęśliwie nie zaczepiono nas, chociaż ja miałem na sobie żołnierski płaszcz niechlujnie rozpięty.

Przeżycia związane z ucieczką z transportu kolejowego, tak bardzo postarzały por. Zygmunta, że napotykanii ludzie, którzy podwozili ich wozem, uważali, że jest ojcem Marysieńki.

Nawet po kilku dniach koło Lublina ciągle musieli uważać, aby ich nie zatrzymano. Władze sowieckie, które rozesłały w Zdołbunowie żołnierzy polskich do domów, po kilku dniach w okolicy Lublina ponownie „zagarniały” polskich żołnierzy.

To już oznaczało nową zmienioną fazę działalności sowieckiej i bardziej aktywne działania NKWD. Idąc, kiedy się już ściemniało, widzieliśmy gdzieś na prawo od kierunku Chełm-Lublin, daleko na przodzie błyski na horyzoncie które miały kształt łun ukazujących się na ułamek sekundy. Ponieważ słyhać było rodzaj głuchych grzmotów z tego kierunku, wywnioskowaliśmy, że to muszą być odgłosy bitwy, która tam się toczy daleko.

W miejscowości Łęczna obserwowali spotkanie konwoju samochodów niemieckich z flagą hitlerowską na przodzie, wraz z grupą samochodów pełnym komandirów sowieckich.

Widać było, że Niemcy uznają bolszewików za współników w napadzie na Polskę i wdzięczni są im za zwycięstwo. Bolszewicy robili wrażenie bardziej zdezorientowanych, jeśli pamiętamy o ich napisach kredą na wagonach: „Na Berlin!” Chociaż władza sowiecka łatwo zmieniała front w stosunku do nazizmu, który dał im połowę znienawidzonej Polski, to do wojska sowieckiego propagandy „przyjaznościowej” nie zastosowano i niektórym oddziałom mogło się wydawać, że oni weszli do Polski, idąc dalej przeciw Niemcom.

Por. Dąbrowski był przekonany, że uratował się z „łap bolszewickich” dzięki modlitwie.

Dziękowaliśmy Matce Boskiej za wysłuchanie naszych modlitw. Głęboko wierzymy, że opiece Matki Bożej, której się gorąco polecaliśmy, zawdzięczamy, że mieliśmy dar szybkiej orientacji w celu wykorzystania okazji i to zarówno teraz, pod tą nawałnicą sowiecką, jak i później pod okupacją niemiecką.

Dopiero po latach dowiedział się, jak tragicznie zakończyli swoje życie jego koledzy i przyjaciele, oficerowie Wojska Polskiego, z którymi pracował w wojsku w czasie pokoju, i z tymi z którymi odbył wędrowkę wrześniową.



Rodzina Dąbrowskich po wojnie w Anglii.

Przemek Dąbrowski urodził się w Anglii, a jego młodszą dwójkę rodzeństwa Hanusia i Michał w Południowej Afryce.

Dziękuję Przemkowi i Liliannie Dąbrowskim, za udostępnienie unikalnej książki podającej tę nieznaną historię aresztowania polskich oficerów.

Od autora: Cytaty pochodzą ze wspomnień Zygmunta K. Dąbrowskiego.

Źródło: Mjr dypl. inż. Zygmunt K. Dąbrowski „Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939 - Unik przed którymś z Katyniów.”

Artykuł ukazał się w „Wiadomościach Polonijnych” wydawanych w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki.

